

# **Nothomb Amelie**

**Podróż zimowa**

Podczas kontroli na lotnisku denerwuję się jak wszyscy. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żebym nie uruchomił alarmu. Raptem robi się wielkie zamieszanie, dłonie mężczyzn obmacują mnie od stóp do głów. Kiedyś nie wytrzymałem i zapytałem: „Naprawdę myślicie, że chcę porwać samolot?”.

To był kiepski pomysł, bo kazali mi się rozebrać. Ci ludzie nie mają poczucia humoru.

Dzisiaj podczas kontroli denerwuję się. Wiem, że uruchomię alarm i że dłonie mężczyzn obmacają mnie od stóp do głów.

Tymczasem rzeczywiście zamierzam porwać samolot odlatujący o trzynastej trzydzieści.

Wybrałem lot nie z Orły, tylko z Roissy-Charles-de-Gaulle. Z istotnych powodów: Roissy jest o wiele ładniejsze i przyjemniejsze, samoloty latają stąd dalej i prawie we wszystkich kierunkach, a sklepy wolnocłowe oferują większy wybór towarów. Ale głównym powodem jest to, że na Orły urzędują babcie klozetowe. Rzecz nie w tym, że trzeba im płacić. W kieszeni zawsze znajdują się jakieś drobne. Ale nie znoszę stykania się z osobą, która będzie po mnie sprzątać. Jest to upokarzające i dla niej, i dla mnie. Chyba mogę bez przesady powiedzieć, że jestem człowiekiem subtelnym.

A wygląda na to, że dzisiaj z toalety będę często korzystał. Po raz pierwszy w życiu przygotowuję się do porwania samolotu. I ostatni, jako że będę nim leciał. Na próżno zastanawiałem się nad jakimś lepszym dla mnie rozwiązaniem, nic nie wymyśliłem. W wypadku osobnika lambda taki akt nieuchronnie pociąga za sobą samobójstwo. Albo trzeba należeć do zorganizowanej siatki, a to mi nie bardzo odpowiada.

Nie ma we mnie ducha współpracy. Nie ma poczucia solidarności z grupą. Nie mam nic przeciw rodzajowi ludzkiemu, jestem za przyjaźnią i miłością, ale działać mogę tylko w pojedynkę. Jak dokonywać rzeczy wielkich, gdy ktoś depcze człowiekowi po piętach? Są sytuacje, w których należy liczyć wyłącznie na siebie.

Trudno nazwać punktualnym człowieka, który przychodzi za wcześnie. Należę do tego gatunku ludzi; tak bardzo boję się spóźnić, że nieodmiennie zjawiam się na długo przed umówioną godziną.

Dzisiaj biję swój własny rekord: kiedy zgłaszam się do odprawy, jest ósma trzydzieści. Panienska proponuje mi miejsce we wcześniejszym samolocie. Odmawiam. Pięcigodzinne czekanie nie będzie mi się dłużyć, ponieważ wziąłem ze sobą pióro i ten zeszyt. Ja, któremu aż do czterdziestki udało się uniknąć hańby pisania, odkrywam teraz, że działalność przestępcza pociąga za sobą potrzebę chwycenia za pióro. To niegroźne, ponieważ te gryzmoły zginą razem ze mną w katastrofie lotniczej.

Nie będę zmuszony proponować lektury swojego rękopisu wydawcy, z fałszywie obojętną miną prosząc go o zdanie.

Podczas kontroli uruchomiłem alarm. Po raz pierwszy się roześmiałem. Jak było do przewidzenia, męskie dłonie obmacały mnie od stóp do głów. Moja wesołość wydała im się podejrzana, więc powiedziałem, że mam łaskotki. Kiedy starannie przeszukiwali zawartość mojej torby, przygryzałem od wewnątrz policzki, żeby nie chichotać. Nie miałem jeszcze tego, co miało mi posłużyć do popełnienia zbrodni.

Następnie w sklepie wolnocłowym nabyłem potrzebny mi przedmiot.

Jest teraz dziewięta trzydzieści. Mam cztery godziny na zaspokojenie tej dziwnej potrzeby, jaką jest napisanie czegoś, czego nikt nie zdąży przeczytać.

Podobno w chwili śmierci przed oczami człowieka jak film przesuwa się całe jego życie. Niedługo dowiem się, czy to prawda. Podoba mi się ta perspektywa, za nic w świecie nie chciałbym stracić *the best of my story*. Piszę być może po to, żeby ułatwić pracę montażystce, który wybierze obrazy, aby mi przypomnieć najlepsze momenty, zasugerować pominięcie tych mniej dla mnie znaczących.

Piszę to również z obawy, że taki zmontowany z migawek film wcale się nie wyświetli. Niewykluczone, że to zwykła błąga i że umiera się głupio, nie widząc w ogóle nic. Bardzo by mnie zmartwiła śmierć bez takiego podsumowującego transu. Na wszelki wypadek spróbuję podarować sobie ów wideoklip w formie pisemnej.

Przypomina mi to Alicję, moją czternastoletnią bratanicę. To dziecko od urodzenia tkwi przed MTV. Powiedziałem jej kiedyś, że gdyby umarła, przed jej oczami przedfilowałby teledysk zaczynający się od Take That, a kończący na Coldplayu. Uśmiechnęła się tylko. Matka zapytała, dlaczego dokuczam jej córce. Jeśli przekomarzanie się z nastolatką jest równoznaczne z dokuczaniem, wolę sobie nie wyobrazać, jakiego przymiotnika użyje moja szwagierka, usłyszawszy, jaką rolę odegrałem w aferze z boeingiem 747.

Rzecz jasna, myślę o tym. Zamachy istnieją tylko po to, żeby o nich paplać, oraz na użytek mediów, tych plotkarzy na skalę planety. Samolotu nie porywa się dla przyjemności, ale po to, by zaistnieć na pierwszych stronach gazet. Wystarczy zlikwidować media i wszyscy terroryści wylądują na bezrobociu. Ale nie nastąpi to szybko.

Przypuszczam, że poczynając od czternastej, powiedzmy od czternastej trzydzieści, żeby wziąć poprawkę na ustawiczne spóźnienia, moimi agentami staną się CNN, AFP i tym podobne stacje. Ta mina mojej szwagierki dziś wieczorem, gdy będzie oglądać dziennik o dwudziestej! „A nie mówiłam, że twój brat był nienormalny!”.

Jestem z tego powodu prawie dumny. Dzięki mnie Alicia dziś po raz pierwszy w życiu obejrzy inny kanał niż MTV. Ale i tak będą mieli do mnie pretensję.

To nie żaden nonsens, że zawczasu cieszę się na myśl o tej scenie; gdy mnie już z nimi nie będzie, nie będę mógł delektować się oburzeniem, które wywołam.

Najlepszy sposób, by nacieszyć się pośmiertną reputacją za życia, to przewidzieć ją na piśmie.

Reakcje moich rodziców: „Zawsze wiedziałem, że mój młodszy syn jest dość specyficzny. Ma to po mnie”, powie ojciec, a matka zaraz zacznie wymyślać wspomnienia, jakoby zwiastujące moją przyszłość: „Jako ośmiolatek budował samoloty z klocków lego, a potem zrzucił je na swoje miniaturowe ranczo”. Z kolei siostra z rozczuleniem przytoczy prawdziwe scenki z przeszłości, których jednak związku ze sprawą daremnie byłoby szukać: „Długo wpatrywał się w cukierki, które trzymał w rączce, zanim je zjadł”.

Mój brat, jeśli żona dopuści go do głosu, powie, że z takim imieniem jak moje można się było tego spodziewać.

I nie będzie to stwierdzenie całkiem bezpodstawne. Znajdowałem się jeszcze w brzuchu matki, kiedy rodzice, przekonani, że jestem dziewczynką, nazwali mnie Zoe. „Śliczne imię, które oznacza życie!”, orzekli. „I rymuje się z twoim imieniem”, zapewnili Chloe, zachwyconą swoją przyszłą młodszą siostrzyczką. Byli już tak usatysfakcjonowani rozważą starszego syna, Erika, że drugi wydawałby się im zbytkiem szczęścia. A Zoe mogła być tylko kopia cudownej Chloe; taka sama, tylko mniejsza.

Urodziłem się z dementi między nogami. Rodzice beztrąsko się z tym pogodzili. Ale tak im zależało na imieniu Zoe, że za wszelką cenę starali się znaleźć jego męski odpowiednik; w jakiejś starej encyklopedii odkryli Zoila i nadali mi to imię, nawet nie zainteresowawszy się jego znaczeniem, co skazało mnie na los legomenona<sup>1</sup>.

Wyuczyłem się na pamięć sześciu linijek, które poświęcił Zoilowi Słownik imion własnych Roberta: „Zoil (grec. Ζοῖλος), grecki sofista (Amfipolis lub Efez, ok. IV wieku n.e.). Zasłynął zwłaszcza ostrą i złośliwą krytyką Homera, stąd nazywany «Hōmeromastiks» (Bicz Homera). Przyjmuje się, że taki był tytuł jego dzieła, w 1 Legomenon, hapaks - wyraz, forma występująca tylko jeden raz w danym tekście, w danym utworze, w całym słowniku danego autora, tu w znaczeniu unikat, rzadkiego okazu (przypisy pochodzą od tłumaczki).

którym próbował udowodnić w imię zdrowego rozsądku niedorzeczność homeryckiego cudu”.

Podobno imię to weszło do potocznego języka. I tak Goethe był na tyle świadom własnego geniuszu, by napastujących go krytyków nazywać zoilami. Z encyklopedii filologicznej dowiedziałem się nawet, że Zoil zginął ukamienowany przez tłum zacnych ludzi, oburzonych jego wypowiedziami na temat *Odysei*. Bohaterskie to czasy, kiedy wielbiciele dzieła literackiego nie zawahali się ukatrupić nieznośnego krytyka.

Jednym słowem, Zoil był obrzydliwym i żalonym durniem. Co tłumaczy, dlaczego nikt nigdy nie nazwał własnego dziecka tym dziwnie brzmiącym imieniem. Oczywiście nikt z wyjątkiem moich rodziców.

W wieku dwunastu lat, odkrywszy swój złowieszczy homonim, zażądałem wyjaśnień od ojca, który wykręcił się stwierdzeniem, że „nikt już tego nie pamięta”.

Matka posunęła się jeszcze dalej:

- Nie słuchaj tego gadania!
- Ależ, mamo, tak jest w słowniku!
- Gdyby wierzyć wszystkiemu, co jest w słowniku...
- A powinno się! - oświadczyłem głosem Komandora.

Natychmiast użyła innej argumentacji, bardziej pokrętej i katastrofalnej:

- Miał trochę racji, przyznasz, że w *Iliadzie* są pewne dłużyzny.

Nie sposób było jej zmusić do przyznania się, że nie czytała *Iliady*.

Skoro już mieli mi nadać imię sofisty, to czemu nie Gorgiasza, Protagorasa czy Zenona, których wybitne umysły do dziś nie przestają intrygować ludzi? Otrzymanie imienia najgłupszego z nich i najbardziej pogardzanego nie wróżyło imponującej przyszłości.

W wieku piętnastu lat, chcąc ubiec przeznaczenie, postanowiłem wziąć byka za rogi i przetłumaczyć Homera na nowo.

W listopadzie wypadały tygodniowe ferie. Rodzice mieli skromną chatkę w lesie, do której czasami jeździliśmy na wywczasy. Zażądałem kluczy.

- Co będziesz tam robił zupełnie sam? - zapytał ojciec.
- Tłumaczył *Iliadę* i *Odyseję*.
- Są już różne znakomite tłumaczenia.
- Wiem. Ale kiedy się samemu tłumaczy jakiś tekst, między nim i tłumaczem wytwarza się więź silniejsza, niż kiedy się czyta.
- Masz nadzieję odeprzeć zarzuty swojego sławnego imiennika?
- Nie wiem. Zanim to zrobię, muszę wpięrow gruntownie poznać samo dzieło.

Odbyłem podróż pociągiem do miasteczka, a potem dziesięciokilometrowy marsz do domku. Czułem w plecaku rozkoszny ciężar starego słownika i dwóch sławnych tomów.

Dotarłem na miejsce w piątek wieczorem. W domku panowało lodowate zimno. Rozpaliłem ogień i usadowiłem się obok kominka w fotelu, który wysłałem kocami. Zimno tak mnie odurzyło, że zasnąłem.

Zdumiony, obudziłem się o świcie w tym samym fotelu. W ciemności czerwieniały rozżarzone węgle. Na myśl o tym, co mnie czeka, poczułem nieopisane uniesienie: mając piętnaście lat, przez pełne dziewięć dni całkowitej samotności będę zgłębiał z całych sił najbardziej czczone w historii dzieło. Wrzuciłem polano do kominka i zaparzyłem kawę. Obok kominka postawiłem stół, a na nim położyłem słownik i książki. Zaopatrzony w czysty zeszyt usiadłem i pogrążyłem się w opisie gniewu Achillea.

Od czasu do czasu podnosiłem głowę znad książki, upajając się chwilą: „Miej świadomość niezwykłości tego, co przeżywasz”, powtarzałem sobie. I nieustannie ją miałem. Upływ dni nie umniejszał mojej ekscytacji: opór, który stawiała mi greka,

wciąż od nowa ożywiał wrażenie miłosnego podboju najwyższej próby. Często łapałem się na tym, że tłumaczę o niebo lepiej w chwili, kiedy piszę. A że proces pisania zakłada przepływ myśli przez pewien odcinek tułowia - wyobrażałem sobie, że chodzi o szyję, ramię i prawą rękę - postanowiłem wspomagać umysł całym swoim ciałem i kiedy nie mogłem rozgryźć znaczenia jakiegoś wersu, rytmicznie skandowałem go nogami, kolanami i lewą ręką. Nie skutkowało. Nucilem go więc, coraz głośniejsze. Bez powodzenia. Dla świętego spokoju szedłem do toalety. Po powrocie wers sam się tłumaczył.

Za pierwszym razem wytrzeszczyłem oczy. To trzeba zrobić siusiu, żeby zrozumieć? Ile litrów wody będę musiał wypić, żeby przetłumaczyć takie kobyły? Potem jednak zrozumiałem, że oddawanie moczu nie ma z tym nic wspólnego. Tym, co skutkowało, było zrobienie kilku kroków w drodze do klozetu. Wezwałem na pomoc nogi; trzeba będzie je znów puścić w ruch, żeby znaleźć rozwiązanie. Z pewnością tylko tak należy rozumieć powiedzenie: „dobrze mi idzie”.

Nabrałem zwyczaju spacerowania po lesie u schyłku dnia. Zachwyciłem się długimi cieniami drzew i lodowatym powietrzem, miałem wrażenie, że stawiam czoło nieprzyjaznej, bezkresnej przyrodzie. Ja, perypatetyk wiersza, czułem, że to ćwiczenie dostarcza mojemu umysłowi brakującej mu siły. W domu uzupełniałem luki w tekście.

Dziewięć dni nie wystarczyło mi na przetłumaczenie nawet połowy Iliady.

Niemniej wróciłem do miasta z poczuciem triumfu. Przeżyłem podniosłą idyllę, która związała mnie z Homerem na zawsze.

Od tamtej pory upłynęło dwadzieścia pięć lat i stwierdzam, że nie potrafię już przypomnieć sobie nawet jednego wiersza z dzieła Homera. Ale w mojej pamięci przetrwało to, co najważniejsze: niezwykła siła żywotna tamtej ekstazy. Płodność umysłu pracującego na pełnych obrotach, umysłu, który przyzywa całą naturę, włącznie z własną. W wieku piętnastu lat intelekt posiada żarliwość, którą trzeba spożytkować w lot, bo ta, jak niektóre komety, nigdy już nie wróci.

Po powrocie z ferii próbowałem opowiedzieć kolegom z liceum o mojej przygodzie. Nikt mnie nie słuchał. Nie byłem tym zdziwiony: nie interesowałem innych, nigdy ich nie interesowałem. Nie byłem osobowością charyzmatyczną i miałem do siebie żal, że nad tym boleję. Co to miało za znaczenie? Powinienem się domyślić, że moje zażyłe obcowanie z Homerem garstki licealistów raczej nie wzruszy. Dlaczego więc tak bardzo chciałem im zaimponować?

Wiek młodzięczy staje w obliczu okrutnego pytania o siłę własnego promieniowania: czy trafi się w sferę światła, czy ciemności? Chciałbym móc sam o tym decydować. Nie mogłem, bo coś, czego nie potrafiłem zgłębić, skazywało mnie na życie w mroku. A to mogłoby mi się podobać tylko wtedy, gdyby było moim wyborem. Zresztą byłem taki jak wszyscy: fascynowały mnie osobowości charyzmatyczne. Z zachwytem słuchałem, kiedy mówili Fred Warnus lub Steve Caravan. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, na czym polegał ich urok, ale poddawałem się mu z

entuzjazmem. Wiedziałem, że ta tajemnica mnie przerasta.

W Europie Zachodniej od dawna nie mieliśmy wojny. W pokoleniach czasu przedłużonego pokoju Kostucha w inny sposób zbiera swe żniwo. Co roku na nagrobnej steli pojawiają się niezliczone nowe nazwiska tych, którzy padli ofiarą przeciętności. Należy im jednak przyznać tę zasługę, że nie uciekli z pola walki, nie są dezertkami, a nawet niektórzy w wieku lat piętnastu byli żywymi bogami. Świadomie używam tego terminu: nastolatek wyruszający na front przedstawia olśniewający widok. Warnus i Caravan pałali czymś w rodzaju świętego ognia.

W wieku osiemnastu lat Warnus poległ; wstąpił na uniwersytet i z dnia na dzień on, taki błyskotliwy, zaczął w kółko powtarzać wytarte frazesy tego czy innego profesora. Caravan dłużej nie składał broni: wyjechał do Nowego Orleanu kształcić się u najlepszych bluesmenów, świetnie się zapowiadał. Gdy grał, przechodziły mi ciarki po grzbiecie. Koło trzydziestki spotkałem go w supermarkecie z wózkiem po brzegi wypełnionym puszkami piwa. Bez cienia wstydu wyznał, że ma potąd bluesa i wcale nie żałuje, że „dopadła go proza życia”. Nie śmiałem zapytać, czy tak nazywa te zgrzewki z piwem.

Przeciętność niekoniecznie wybiera drogi społeczne czy zawodowe, by odnieść zwycięstwo. Jej triumfy często bywają bardziej kameralne. Wspomniałem tych dwóch chłopców, którzy jako piętnastolatki byli za pan brat z boskością, ale Kostucha atakuje nie tylko elity. Nieświadomi tego lub świadomi, wszyscy zostajemy posłani do walki, którą można przegrać na wiele sposobów.

Listy ofiar nikt nigdzie nie ogłasza i nigdy nie ma pewności, kto się na niej znalazł; nie wiadomo nawet, czy nie figuruje na niej nasze własne nazwisko. A przecież trudno wątpić, że taki front istnieje. W wieku lat czterdziestu tych, którzy ocaleli, jest tak niewielu, że zaczyna nas nękać poczucie tragizmu. W wieku lat czterdziestu nieuchronnie przywdziewamy żałobę.

Myślę, że przeciętność nie zdołała mnie dopaść. Zawsze udawało mi się zachować czujność, a to za sprawą kilku sygnałów alarmowych. Oto najpewniejszy z nich: dopóki nie cieszy nas czyjś upadek, dopóty wciąż możemy oglądać własne odbicie w lustrze. Rozkoszowanie się miernotą bliźniego jest szczytem miernoty. Zachowałem wielką zdolność odczuwania cierpienia z powodu upadku ludzi, których znam. Ostatnio spotkałem moją wspaniałą przyjaciółkę z lat studenckich, Laurę. Zapytałem ją, co słyhać u Violette, najpiękniejszej dziewczyny na naszym roku. Z wielką uciechą odpowiedziała, że ta przytyła trzydzieści kilogramów i ma więcej zmarszczek niż Baba Jaga. Zmroziła mnie jej radość. A już do reszty mnie dobiła, oburzając się moim ubolewaniem nad tym, jak skończył Steve Caravan:

- Dlaczego go osądzasz?

- Nie osądzam go. Jest mi tylko przykro, że rzucił muzykę. Miał taki talent.

- Z samego uważania się za geniusza nie popłaci się rachunków.

Jeszcze gorsza od tych słów była cierpkość jej tonu.

- A więc twoim zdaniem Steve był kimś, kto uważał się za geniusza? Nigdy nie

pomyślałaś, że mógł nim być?

- Miał skromny talencik, jak my wszyscy.

Przeciąganie tej rozmowy nie miało sensu. Wysłuchiwanie gadania prawomyślnych nie jest łatwe, a staje się już całkiem nie do zniesienia, gdy człowiek dostrzeże, ile nienawiści ukrywa się pod ich katechizmem.

Słowo się rzekło: nienawiść. Za kilka godzin w następstwie moich poczynań rozbije się samolot. Mimo środków ostrożności, które podjąłem, nie obejdzie się bez co najmniej setki zabitych. Niewinnych ofiar - piszę to bez ironii. Kim jestem, by piętnować nienawiść innych?

Na własny użytek pragnę zaznaczyć jedno: nie jestem terrorystą. Terrorysta działa w imię jakiegoś roszczenia. Ja nie roszczę sobie praw do niczego. Nie bez satysfakcji mogę radykalnie odciąć się od tego przestępczego świata, który potrzebuje pretekstu, żeby nienawidzić.

Nienawidzę nienawiści, a mimo to ją odczuwam. Znam tę truciznę, która wraz z zadrażnieniem przenika do krwi i infekuje sobą wszystko do szpiku kości. Czyn, który zamierzam popełnić, najlepiej to wyraża. Gdyby to był terroryzm, wymyśliłbym dla swojej nienawiści jakieś narodowe, polityczne czy religijne przebranie. Ośmielam się powiedzieć, że jestem potworem uczciwym i nie próbuję wymyślić dla własnej odrazy żadnych pobudek, celu czy szczytnych intencji. Dorabianie do akcji destrukcyjnej wzniosłych motywów budzi we mnie niesmak.

Od czasów Troi nie ma już naiwnych: zabija się, żeby zabić, pali się, żeby spalić, nie wątpiąc, że zawsze się to potem jakoś uzasadni. Nie jest to żadna próba usprawiedliwienia się, bo nikt tych słów nie przeczyta, ale wewnętrzna potrzeba postawienia sprawy jasno: zbrodnia, którą zamierzam popełnić, choć przemyślana, jest w stu procentach podyktowana afektem. Musiałem tylko zachować w stanie nienaruszonym impet mojej nienawiści, nie dopuścić, by osłabł i ugrzązł w fałszywym zapomnieniu rozkładu.

Po mojej niechybnej śmierci zostanę uznany za kogoś, kim nie jestem, i nie obchodzi mnie to, że nikt nie zrozumie, kim gardzę. Ale zło posiada własną higienę, moja zaś każe mi zaznaczyć, że na skutek katastrofy samolotu stanę się łajdakiem, kanalią, psychopata, śmieciem - wszystkim, tylko nie terrorystą. W każdym jest trochę kokieterii.

Nie chodzi też o nadanie sensu życiu, bo mojemu go nie brakuje. Przyznaję, że zdumiewają mnie te rzesze ludzi, którzy ubolewają, że ich życie ma niewiele sensu. Przypominają mi elegantki, które, stojąc przed swoją bajeczną garderobą, wykrzykują, że nie mają się w co ubrać. W zwykłym fakcie, że człowiek żyje, jest już jakiś sens. Że żyje na naszej planecie, kolejny. Że żyje pośród innych, dodatkowy. Mówienie, że życie nie ma sensu, jest niepoważne. Jeśli o mnie chodzi, słuszniej byłoby powiedzieć, że mojemu dotychczasowemu życiu brakowało celu. I było mi z tym dobrze. Moje



życie było jak czasownik, który nie posiada strony biernej - nieprzechodni. Żyłem w trybie nieprzechodnim i mógłbym żyć tak dalej ku swojej pełnej satysfakcji. Lecz wtedy dopadło mnie przeznaczenie.

Przeznaczenie mieszkało na poddaszu. Od piętnastu lat mój zawód polega na udzielaniu osobom urządzającym się w nowym lokum pomocy - o którą wcale nie prosiły - w razie kłopotów z wyposażeniem mieszkania w energię. Zależnie od rodzaju instalacji - może powinienem powiedzieć: od stopnia jej zniszczenia? - kieruję te osoby do elektrociepłowni lub gazowni, instytucji, dla których pracuję; obliczam koszty i przyznaję kredyty, kiedy zetknę się z sytuacją socjalną, której określenie „niepewna” już nie oddaje. Wykonuję tę pracę w Paryżu i więcej niż często miałem okazję przekonać się, ile ludzie są w stanie znieść, byleby mieszkać w tym mieście. Niektórzy, powodowani resztkami wstydu, zapewniają mnie, że opłakany stan ich lokum nie potrwa długo: „Widzi pan, niedawno się sprowadziliśmy”. Przytakuję. Wiem, że w ogromnej większości przypadków żadna poprawa nie nastąpi; jedyna zmiana polegać będzie na nagromadzeniu bezużytecznych rupieci, które tylko przykryją zastany bajzel.

Oficjalna wersja głosi, że kocham swój zawód, ponieważ pozwala mi spotykać różnych dziwnych ludzi. Nie jest to nieprawdą. Niemniej należałoby zaznaczyć, że zajęcie to dostarcza przede wszystkim pożywki mojej wrodzonej niedyskrecji. Lubię odkrywać prawdę o miejscach, w których toczy się życie, o przerażających norach, w których godzą się mieszkać istoty ludzkie.

W mojej ciekawości nie ma ani odrobiny pogardy. Widok klitki, w której ja sam mieszkam, też nie przynosi mi chluby. Mam jedynie świadomość, że dotykam nieujawnionej tajemnicy, i to niebłahej: gatunek ludzki mieszka nie lepiej od szczurów. W reklamach, w filmach widzi się ludzi krążących po wspaniałych loftach lub wytwornych buduarach. Przez piętnaście lat pracy nie spotkałem ani jednej osoby, która przeprowadziłaby się do tych splendorów rodem z innego świata.

Tego grudniowego dnia miałem spotkanie z nową mieszkanką dzielnicy Montorgueil. W karcie rejestracyjnej było zaznaczone, że jest powieściopisarką. To mnie zaintrygowało, nie pamiętam, bym przeprowadzał wywiad u kogokolwiek tej profesji.

Ku mojemu zaskoczeniu przyjęła mnie niejedna młoda kobieta, lecz dwie.

Pierwsza, trochę nienormalna, siedziała na kanapie, z której się nie ruszyła, tylko powitała mnie jakimś nosowym pomrukiem. Druga, czarująca i żywotna, zaprosiła mnie do środka. Jej nienaganne maniery mocno kontrastowały ze stanem lokalu. W mieszkaniu na poddaszu po prostu nie było żadnego ogrzewania.

- Jak sobie z tym radzicie? - spytałem, przerażony lodowatym zimmem.

- Jak pan widzi - powiedziała, wskazując na ubiór swój i przyglądała się na kanapie.

Obie miały na sobie po piętnaście wełnianych swetrów, a na nich tyleż samo palt, szalików i czapek. Nienormalna wyglądała jak niedorozwinięty yeti. Śliczna nawet w tym stroju prezentowała się wdzięcznie. Przez chwilę zastanawiałem się:

czyżby były parą? Jakby w odpowiedzi na to milczące pytanie stwora zaczęła wypuszczać z ust bańki śliny. Nie, nie mogły być parą. Poczulem ulgę.

- I wytrzymujecie? - dociekałem niemądrze.

- Nie mamy wyboru - odpowiedziała.

Wiek debilki, jak to u osób jej pokroju, trudno było określić. Ślicznotka mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. W moich papierach widniało nazwisko: „A. Maleze”.

A: Agathe? Anna? Aurelia? Audrey?

Nie wypadło o to zapytać. Obejrzałem kilka pomieszczeń, ze zdziwieniem stwierdzając, że w toalecie nie zamarzała woda. Temperatura w mieszkaniu wynosiła jakieś dziesięć stopni. Niedużo, oczywiście, ale to skąd wrażenie, że jest o dziesięć stopni mniej? Spojrzałem na sufit, prawie w całości przeszklony. Izolacja żadna, nieustanny przeciąg przejmował zimnem do szpiku kości. Koszt niezbędnych robót oceniłem na setki tysięcy euro. Co gorsza, przed końcem zimy i tak nie można było nic przedsięwziąć, ponieważ trzeba by zdjąć dach. Powiedziałem jej to. Roześmiała się.

- Nie mam nawet grosza z takiej sumy. Całe pieniądze zainwestowałyśmy w kupno tego mieszkania.

„My” mogło znaczyć, że są siostrami.

- Ale możecie pożyczyć i przenieść się na ten czas do krewnych.

- Nie mamy żadnych krewnych.

Wzruszające były te dwie dzielne sieroty, z których jedna kwalifikowała się do czubków.

- Nie możecie tak spędzić zimy - zaprotestowałem.

- Musimy. Nie mamy żadnego wyjścia awaryjnego.

- Mogę wam znaleźć mieszkanie socjalne.

- Nie ma mowy. Zresztą na nic się nie skarżymy. To pan obstawał przy tej inspekcji.

Słyszając ten obronny ton, poczułem skurecz serca.

- A jak udaje wam się zasnąć w nocy?

- Napełniam gorącą wodą termofory, przytulamy się do siebie i nakrywamy kołdrą.

Teraz lepiej zrozumiałem powód obecności przygłupa; trzymała ciepło.

Bezcenna właściwość, w trakcie dotychczasowej pracy miałem okazję przekonać się, jak bardzo.

Podobała mi się duma młodej damy. Postawiłem wszystko na jedną kartę:

- Nie wyjdę stąd, nie zaoferowawszy wam jakiegś pomocy, ratunku czy pośrednictwa.

- Co zatem pan proponuje?

- Mogę przynieść piecyki elektryczne. Gratis.

- Nie będziemy miały z czego zapłacić rachunku za elektryczność, który potem przyjdzie.

- Elektrociepłownia przewidziała różne rozwiązania na taką okoliczność.
- Nie jesteśmy osobami w potrzebie.
- To godna podziwu postawa. Ale istnieje też chroniczny bronchit, który może skończyć się zapaleniem płuc. Coraz częściej zdarzają się takie przypadki.
- Obie cieszymy się znakomitym zdrowiem.

Zaczynała się robić nieprzyjazna. Zrozumiałem, że jestem proszony o opuszczenie lokalu. Jedyne, co zdołałem swoim naleganiem uzyskać, to kolejne spotkanie celem osłonięcia sufitu wielkimi płachtami plastiku.

- Będzie brzydko - powiedziała.

- Ale tylko chwilowo - odpowiedziałem, próbując pojednawczego uśmiechu.

Odłożyłem na następny raz pytania, które bardzo pragnąłem jej zadać.

Po wyjściu pognąłem do księgarni w Halach w poszukiwaniu powieści niejakej A. Maleze. Znalazłem *Ślepe naboje* autorstwa Alienor Maleze. Alienor - imię było tak piękne, że z wrażenia zaniemówiłem.

Przeczytawszy powieść, nie bez lęku zadałem sobie pytanie, niby pod jakim względem owe ślepe naboje były mniej niebezpieczne od prawdziwych. Nie potrafiłem znaleźć na nie odpowiedzi i sam nie wiedziałem, czy książka mi się spodobała. Tak jak nie umiałbym rozstrzygnąć, czy wołałbym dostać zatrutą strzałą między oczy, czy pływać ze zranioną nogą wśród rekinów.

Skupiłem się na zaletach powieści. I tak skończywszy książkę, odczułem głęboką ulgę. To prawda, że w trakcie jej lektury cierpiałem, tyle że nie z przyczyn literackich. Skądinąd doceniłem to, że na obwolucie nie zamieszczono zdjęcia autorki, w dzisiejszych czasach coraz trudniej jest uniknąć powiększenia facjaty pisarza na okładce. Szczegół ów uradował mnie tym bardziej, że znałem czarującą twarz panny Maleze, którą to twarz śmiało można by wykorzystać jako argument marketingowy. W notce nie wspomniano o wieku pisarki, jak również nie zapewniano, że jest najbardziej obiecującym talentem swojego pokolenia. To wszystko skłoniło mnie do konkluzji, że książce nie brakuje zalet.

Z wykazu „Książek tego samego autora” dowiedziałem się, że dzieło nie jest debiutem. A. Maleze opublikowała już cztery powieści: *Bez znieczulenia*, *In vivo*, *Włamanie* i *Ostatnie stadium*. Poczulem rozpacz rycerza, który pewien, że zwycięsko przeszedł próbę, odkrywa, że pani jego serca oczekuje od niego czterech kolejnych podobnej rangi wyczynów.

Zamówiłem powieści u księgarza w mojej dzielnicy i czekałem gorączkowo na następne spotkanie. Czy przynieść książkę i poprosić o dedykację? Czy to dobry pomysł? Czy gdybym był pisarzem, chciałbym, żeby inni tak wobec mnie postępowali? Czy nie uzna tego za niewczesny gest, próbę spoufalenia się, wkroczenia w jej prywatność? Głowiłem się nad tymi kwestiami etykiety, które wtargnęły w skromną przestrzeń społeczną, po której się poruszałem.

W dniu spotkania wsunąłem *Ślepe naboje* do plecaka, nadal nie mając żadnego planu. Aliénor! Jej imię rozbrzmiewało w moich uszach krystalicznym dźwiękiem diamentu. Muszę jednak pamiętać, żeby się tak do niej nie zwracać; wydało mi się to równie trudne, jak nie podziękować harfistce, która zagrała Debussy'ego akurat w tym momencie, gdy poczuło się nieodpartą potrzebę usłyszenia tej czarownej muzyki. Aliénor powitała mnie z uprzejmością, która sprawiła, że poczułem się nieswojo. Jej głupkowata towarzyszka siedziała w swoim kącie i wyjadała z parującego rondla tłuczone kartofle. „Rozgrzewają”, wyjaśniła głosem osoby z zajęczą wargą. Przytaknąłem i zabrałem się do pracy. Rozpościeranie plandeki okazało się znacznie trudniejsze, niż myślałem; pisarka mi pomagała, ja zaś ze wstydem wyznałem, że gdyby nie ona, musiałbym zrezygnować i zostawić ją na pastwę przeciągów do czasu powrotu z ekipą.

- Widzi pani, nie jest wcale tak brzydko - powiedziałem, kiedy skończyliśmy.

- Niebo zasługuje na więcej niż przejrzystość plastiku - odpowiedziała. - Kiedy go pan zdejmie?

- Powoli! Dopiero założyliśmy. Na pani miejscu przed końcem kwietnia nic bym nie ruszał.

Z wielkiej torby, w której przyniosłem plastikową płachtę, wyjąłem malutki model piecyka elektrycznego z grzejnikiem płytowym.

- Teraz pani mieszkanie ma izolację i warto je ogrzewać - stwierdziłem. - To urządzenie zużywa znacznie mniej energii niż grzejniki konwektorowe.

- O nic pana nie prosiłam.

- Nie jest pani zobowiązana do używania tego piecyka. Ale nie zmusi mnie pani, żebym go przez cały dzień z sobą taszczył. Zostawię go i razem z plandeką odbiorę pod koniec kwietnia.

Zdjęła mitenki i musnęła powierzchnię piecyka, jakby był jakimś zwierzęciem domowym, które chce jej podstępem wcisnąć. Na widok paskudnej rany na jej dłoni nie zdołałem powstrzymać okrzyku.

- To nic takiego - powiedziała. - Kiedy spałam, pękł termofor. I tak szczęście, że skończyło się na oparzeniu ręki.

- Pokazała to pani lekarzowi?

- Nie ma potrzeby. Tylko z powodu pęcherzy tak to widowiskowo wygląda.

Z powrotem naciągnęła mitenki. W mieszkaniu panował taki ziąb, że miałem wrażenie, iż z powietrza można by wykrawać kostki lodu. Poczułem skurcz serca na myśl, że zostawię dziewczynę w tym lodowatym więzieniu.

- Potrafi pani pisać w takim zimnie? - wyjąkałem.

- Aliénor! Pytanie do ciebie!

Nienormalna spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem. Ja również osłupiałem.

Jak to? Więc to ona była pisarką?!

- Potrafi pani pisać w takim zimnie? - powtórzyłem ze zgrozą, wpatrując się w obwódkę z ziemniaczanego purée na jej ustach.

- Lubię - odpowiedziała zajęcza warga.

Pragnąc ukryć przerażenie, wyjąłem z plecaka książkę.

- Spójrz - powiedziała śliczna. - Ten pan przyniósł twoją powieść. Zadedykujesz mi ją?

Stwora wydała radosny bełkot, który uznałem za znak zgody. Wolałbym wręczyć książkę ładnej, żeby przekazała ją dalej, przemogłem się jednak i sam podałem ją brzydkiej. Razem z piórem, w które ta ostatnia bardzo długo się wgapiała.

- To pióro tego pana. Trzeba mu je oddać - powiedziała w końcu ta, której imienia nie znałem.

„Aliénor”, pomyślałem. Od kiedy dowiedziałem się, kto je nosi, imię to nabrało innego brzmienia. Usłyszałem w nim słowo „alien”. Tak, przypominała mi potwora z filmu. Z pewnością z tej przyczyny wzbudzała we mnie taki niepokój.

- Niedaleko jest kawiarnia - zwróciłem się do ładnej. - Może pójdziemy się czegoś napić?

Wyjaśniła głupkowatej, że wychodzi z panem do kawiarni, i zasugerowała, żeby ta pod naszą nieobecność wpisała godną siebie dedykację. Zastanowiło mnie, co to może znaczyć i co wspólnego miała godność czy też jej brak z właściwym Aliénor stanem zombi.

W kawiarence musiała wyczytać wielkie znaki zapytania w moich oczach, bo od razu zaczęła mówić:

- Wiem. To niewiarygodne, żeby taka pisarka była opóźniona umysłowo.

Proszę nie zaprzeczać, nie jest przyjęte używanie tego słowa, ale moim zdaniem jest ono trafne i wcale nie pogardliwe. Aliénor jest osobą powolną. Wprost trudno uwierzyć, ile czasu zajmuje jej wykonanie nawet najprostszej czynności. Jej język jest wolny od automatyzmów tak powszechnych w naszej mowie.

- Nie to mnie najbardziej dziwi. W jej książce jest tyle przemocy. Tymczasem sama Aliénor sprawia wrażenie miłej i łagodnej.

- A pana zdaniem jeśli pisarz jest miły, to i książki pisze miłe? - zapytała.

Poczułem się jak kretyń do kwadratu i pozwoliłem jej mówić dalej.

- Ma pan rację co do jednego - ciągnęła. - Aliénor jest miła i łagodna.

Naprawdę nie ma w niej żadnego wyrachowania. Gdybym się nią nie zajęła, wydawcy puściliby ją z torbami.

- Jest pani jej agentką?

- W pewnym sensie, choć nie precyzuje tego żadna umowa. Spotkałam Aliénor pięć lat temu, kiedy wyszła jej pierwsza książka. Oczarował mnie jej styl i wybrałam się na targi książki, żeby zdobyć dedykację. Na czwartej okładce wydawca zaznaczył, że Aliénor Maléze jest osobą autentyczną i szczególną oraz że „jej odmienność wzbogaca nasze społeczeństwo”. Na jej widok przeżyłam szok. Ta wielka, bijąca w oczy niewinność. Na stoisku, zamiast sięgnąć po wręczaną jej książkę albo przybrać handlowy uśmiech osoby mającej coś do sprzedania, dłużyła w nosie, nie zwracając najmniejszej uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenia przechodzących. W pewnym

momencie podeszła do niej jakaś kobieta i wyraźnie widziałam, jak przypakowała jej pięścią w dół pleców, a drugą ręką wetknęła w dłoń pióro. Od razu zorientowałam się, że dziewczyna potrzebuje opieki.

- Na okładce *Ślepych nabożów* nie ma wzmianki o jej... inności.

- Od drugiej książki już nad tym czuwałam. Epatowanie jej ułomnością celem zwiększenia sprzedaży było dla mnie czymś szokującym, tym bardziej że śmiało można czytać jej książki bez znajomości tego szczegółu. Kiedy udało mi się doprowadzić do tego, że nie będzie więcej wzmianki o jej przypadłości, wydawca próbował zamieścić jej zdjęcie na obwolucie. Co na jedno wychodziło, jako że twarz Aliénor mówi sama za siebie. Walczyłam, żeby i ten pomysł nie przeszedł.

- Z powodzeniem.

- Tak. Najtrudniej mi było nawiązać z nią kontakt. Nie dlatego, że ukrywała swoje personalia, tylko dlatego, że ich nie znała. Musiałam ją śledzić. I wtedy wyszło szydło z worka: wydawca zamykał ją samą z magnetofonem w maleńkim mieszkanku. Wieczorem zaglądała strażniczka i odsłuchiwała taśmę, na której Aliénor miała nagrywać swoją następną powieść. Jeśli uznała, że więźniarka dobrze się spisała, zostawiała jej góry jedzenia. Jeśli nie, nic. Aliénor uwielbia jeść. Ale oczywiście nie rozumiała tego szantażu.

- Oburzające.

- Najgorsze, że nie mogłam temu przeszkodzić. Po długich poszukiwaniach znalazłam w końcu jej rodziców, których wydawcy, to plemię Thénardierów<sup>2</sup>, zapewniali, że ich córka prowadzi w Paryżu światowe życie. Wyjawiłam im, jak wygląda prawda. Byli oburzeni, wyznali jednak, że nie mieli już siły się nią zajmować. Powiedziałam, że gotowa jestem przyjąć Aliénor do siebie i zapewnić jej opiekę. Nie mieli zastrzeżeń. Całe szczęście, bo w owym czasie mieszkałam w dzielnicy Goutte-d'Or; w koszmarnej norze, w porównaniu z którą nasze obecne mieszkanie, kupione za pieniądze ze sprzedaży praw autorskich Aliénor, to pałac. Szokuje pana, że nie mamy ogrzewania. W Goutte-d'Or nie tylko nie miałyśmy ogrzewania, ale nawet bieżącej wody.

- Wydawca nie próbował w tym przeszkodzić?

- Próbował, oczywiście. Ale rodzice oddali Aliénor pod moją opiekę, co nam obu zapewnia ochronę prawną. Nie uważam jej jednak za swoją podopieczną, tym bardziej że jest ode mnie o trzy lata starsza. Naprawdę kocham ją tak, jakby była moją własną siostrą, nawet jeśli życie z nią nie zawsze bywa łatwe.

- Początkowo myślałam, że pisarką jest pani.

- Zabawne. Przed poznaniem Aliénor jak wszyscy uważałam, że potrafię pisać. Od czasu, kiedy dyktuje mi swoje teksty, widzę, jak mi daleko do prawdziwego pisarstwa.

- Dyktuje jej pani?

- Tak. Pisanie odręczne wymaga od niej wielkiego wysiłku. A klawiatura ją obezwładnia.

- Nie jest to dla pani zbyt uciążliwe?

- To ta część mojej roli, którą najbardziej lubię. Wcześniej, będąc tylko czytelniczką lambda, nie zdawałam sobie sprawy z maestrii jej pisarstwa. Ta klarowna proza budzi chęć, żeby samemu zostać pisarzem, człowiek mówi sobie, że to musi być bardzo łatwe. Każdy czytelnik powinien przepisywać teksty, które kocha; to najlepszy sposób, by zrozumieć, dlaczego są takie cudowne. Zbyt szybka lektura nie pozwala odkryć tego, co kryje się za taką prostotą.

- Ma dziwny głos; ledwo rozumiem, co mówi.

- To jeden z przejawów jej kalectwa. Można się przyzwyczaić do takiej dykcji.

- Ale co konkretnie jej dolega?

2 Thénardierowie, postaci fikcyjne, bohaterowie *Nędzników* Wiktora Hugo, ludzie podli, okrutni i chciwi zysku.

- Cierpi na bardzo rzadką formę autyzmu, chorobę Pneuxa. Doktor Pneux opisał to schorzenie, potocznie nazywane łagodnym autyzmem. Jedną z cech ludzi cierpiących na tę chorobę jest to, że nie bronią się przed żadnymi atakami agresji; nie postrzegają ich jako takie.

Po chwili namysłu powiedziałem:

- Ale w jej książce...

- Tak. Ale to dlatego, że Aliénor jest pisarką; piórem potrafi wyrazić to, czego nie dostrzega w życiu codziennym. Inni chorzy na chorobę Pneuxa nie mają, niestety, takiego daru.

- Czyli że nie zawdzięcza talentu swojej chorobie.

- Owszem. Jej talent jest obroną immunologiczną, której by nie wykształciła, gdyby nie była chora. Nie znoszę teorii zła koniecznego, ale trzeba przyznać, że gdyby nie to upośledzenie, Aliénor nigdy by tak nie pisała.

- A na czym jeszcze, oprócz pisania pod jej dyktando, polega pani rola?

- Jestem pośrednikiem między Aliénor i światem. To poważna praca.

Negocjuję z wydawcami, dbam o jej zdrowie fizyczne i psychiczne, kupuję żywność, ubrania i książki, wybieram dla niej muzykę, chodzę z nią do kina, przygotowuję posiłki, pomagam się myć...

- Nie potrafi sama?

- Ona postrzega brud jako coś zabawnego, nie rozumie, po co miałyby się myć.

- Uważam, że jest pani bardzo dzielna - oświadczyłem, próbując sobie wyobrazić rzeczoną toaletę.

- Wiele Aliénor zawdzięczam. Jestem na jej utrzymaniu.

- Zważywszy, ile pani dla niej robi, jest to zwykła sprawiedliwość.

- Gdyby nie ona, wykonywałabym jakąś zwykłą, nieciekawą pracę. Dzięki niej żyję pełnią życia; zawdzięczam jej wszystko.

Słuchałem jej opowieści oniemiały ze zdumienia. Byłem pewny, że sam nigdy bym nie zniósł takiego losu. A ona była nim zachwycona!

Obawiałem się, że jest kimś w rodzaju świętej. Święte działają na mnie w

pewien sposób erotycznie, już choćby skutkiem irytacji, jaką we mnie budzą. Wobec tej młodej kobiety nie to jednak pragnąłem odczuwać.

- Jak pani na imię? - zapytałem, żeby już skończyć z tą wielkoduszością.

Uśmiechnęła się jak ktoś, kto zaraz wyłoży atutową kartę.

- Astrolab.

Gdybym w tym momencie jadł, zakrztusiłbym się.

- Przecież to męskie imię! - zawołałem.

- Och, nareszcie ktoś, kto o tym wie!

- To syn Heloizy i Abelarda!

- Czyżby elektrociepłownia zatrudniała scholastyków?

- Skąd u rodziców ten pomysł, żeby dać pani na imię Astrolab?

- Pan przynajmniej nie uważa tego za pseudonim, przybrany dla epatowania gawiedzi.

Rzeczywiście, sam najlepiej wiedziałem, w jak cudaczny sposób rodzice potrafią nazwać własnego potomka.

- Moja matka miała na imię Heloise - podjęła młoda kobieta - ojciec Pierre, co było imieniem Abelarda. Jak dotąd wszystko w porządku. Niedługo po moim poczęciu ojciec został zagorzałym zwolennikiem Fidela Castro, porzucił matkę i wyjechał na Kubę. Mama udawała, że wierzy, iż kastrysta i kastrat mają wspólny źródłosłów. Z zemsty nazwała mnie Astrolabem, tak żeby ojciec, kiedy wróci, wiedział, co ona o tym wszystkim myśli. Ale nie wrócił.

- Nadając własnemu dziecku imię z mściwych pobudek, nie robi mu się prezentu.

- Ja też tak uważam. Ale lubię moje imię.

- Słusznie. Jest cudowne.

Chciałem, żeby moja ciekawość spotkała się z wzajemnością. Niestety, nie zapytała mnie o personalia. Z własnej inicjatywy poruszyłem więc temat.

Wyjaśnwszy, kim był Zoil, stwierdziłem:

- Jedno nas łączy: surrealistyczne imię, z karygodną nonszalancją nadane nam przez rodziców.

- Można na to spojrzeć i tak - skwitowała tonem osoby pragnącej zakończyć rozmowę. - Aliénor na pewno już wpisała dedykację na pańskiej książce. Chodźmy po nią. Myślę, że dość już zajęłam pana cennego czasu.

Jak obłany kubłem zimnej wody, wróciłem z nią do mieszkania. Na czym polegał mój błąd? Uratowała mnie Aliénor; z radosną i zwycięską miną wręczyła mi książkę z następującą dedykacją: „Dla pana, całusy, Aliénor”.

- Polubiła pana - stwierdziła Astrolab łagodniejszym tonem.

Nie chciałem popsuć powrotu do jej łask i od razu się pożegnałem. Z wdzięczności postanowiłem przeczytać dzieła pisarki w najwyższym skupieniu.

Astrolab - to dla niej oczywiście zamierzam porwać ten samolot. Myśl ta napęliłaby ją grozą. Trudno, są kobiety, które trzeba kochać wbrew ich woli, i czyny,



które trzeba popełniać wbrew sobie.

Jednakże przesadą byłoby twierdzić, że nie zostałem tym niedzielnym high jackerem, gdyby mi się powiodło w miłości. Przede wszystkim dlatego, że nie wiem, czym jest powodzenie w miłości. Kiedy miłość można uznać za udaną? Jak również dlatego, że nawet w wypadku bezsprzecznego sukcesu miłosnego nie gwarantuje, że nie przeznaczyłbym dzisiejszej niedzieli na tę operację.

Kiedy Astrolab dowie się, co zrobiłem, znienawidzi mnie, będzie mną gardziła i przeklinała dzień naszego spotkania, zniszczy moje listy, albo gorzej, zanieśli je na policję; jestem pewny, że żaden więcej mężczyzna nie będzie do tego stopnia zaprzętał jej myśli. To już coś.

Nie wiem, czym jest powodzenie w miłości, lecz wiem jedno: że nie ma miłosnej porażki. Jest w tym pewna sprzeczność. Samo odczuwanie miłości jest już triumfem tak wielkim, że można by sobie zadać pytanie, po co chceć więcej.

W wieku szesnastu lat przeżyłem utratę apetytu. Nie uznano tego za anoreksję, niemniej w ciągu dwóch miesięcy schudłem o dwadzieścia kilogramów. Przy wzroście metr siedemdziesiąt pięć chłopak ważący czterdzieści kilogramów przedstawia widok odstręczający. Trwało to pół roku i potem znów zacząłem jeść. Było to zjawisko o tyle ciekawe, że odkryłem wtedy w sobie cudowne właściwości, wcześniej mi nieznanne, między innymi ową fantastyczną zdolność krystalizowania się wokół drugiej osoby.

Dzięki tym sześciu miesiącom absolutnej oziębłości nie grozi mi, bym zapomniał, że zwykła rzeczywistość miłości jest łaską, stanem krańcowego pobudzenia, w którym każda inna rzeczywistość przestaje istnieć.

W księgarni czekały na mnie zamówione książki Aliénor; zabrałem je do domu i z wyteżoną uwagą wszystkie przeczytałem. Nieczęsto zdarza się pochłaniać dzieło pisarza wyłącznie w celu uwiedzenia jego eskorty. Następnie wysmażyłem do panny Malèze epistołę taką, że niechybnie musiała ją przeczytać również jej opiekunka. Na dole strony umieściłem swoje zamiary i nastąpił cud: Astrolab do mnie zadzwoniła.

- Cóż to za list! - powiedziała z podziwem.

- Jest tylko wyrazem mojego zachwytu.

- Aliénor poprosiła, żebym przeczytała go na głos, bo chciała się upewnić, że wzrok jej nie myli.

- Z tej samej przyczyny chciałbym, żeby poczytała mi pani na głos książki Aliénor.

W słuchawce usłyszałem jej śmiech.

- Czy elektrociepłownia pozwoli zaprosić pana do nas na herbatę, zupełnie niezwiązaną ze sprawą ogrzewania?

Zjawiłem się u nich w następną sobotę o siedemnastej. Herbatka w towarzystwie damy mojego serca oraz głupkowatej pisarki okazała się dość niezwykłym przeżyciem.

W mieszkaniu panował ziąb tylko odrobinę mniej przejmujący niż ostatnim razem.

- Nie używacie mojego piecyka - zauważyłem.  
- Może pan na nas donieść do elektrociepłowni. Nie proponuję panu zdjęcia palta. Proszę zawierzyć naszemu doświadczeniu, lepiej zachować nagromadzone już ciepło.

Przyniosłem w prezencie pudełko makaroników od Ladurého. Podając herbatę, Astrolab powiedziała, żebym się poczęstował; wyczułem, że to rozkaz.

- Teraz albo nigdy - wyjaśniła.

Zrozumiałem, w czym rzecz, kiedy pudełko trafiło w ręce Aliénor, i kiedy ta, wydawszy kilka ekstatycznych pomruków, jęła wrzucać do otwartych szeroko ust makaroniki jeden po drugim. Wybrałem zestaw dwudziestu sztuk w różnych smakach; za każdym nowym smakiem Aliénor wydawała skowyt, chwytając Astrolab za ramię, żeby przyciągnąć jej uwagę, i rozdziawiała szeroko paszczę, pokazując kolor ciasteczka, sprawcy takiej ekstazy.

- Powinienem był przynieść trzydzieści - zauważyłem.

- Trzydzieści czy czterdzieści, i tak wszystkie by zjadła. Prawda, Aliénor? Pisarka skwapliwie się z nią zgodziła. Skończywszy jeść, zapatrzyła się z podziwem na pudełko koloru zielonego nefrytu. Moje pytania o książki zdawały się do niej nie docierać.

- Aliénor nie odpowiada na pytania o jej twórczość - wyjaśniła Astrolab. - Nie rozumie zasady objaśniania tekstu.

- Ma rację.

Było mi trochę głupio mówić o niej w trzeciej osobie w jej obecności, tyle że była to obecność względna. Nie słuchała nas.

- Czy naprawdę przeczytała mój list? - spytałem.

- Oczywiście. Bez obaw, Aliénor rozumie komplementy. Któregoś dnia, słysząc, jak gorąco ją chwale za jeden z akapitów jej prozy, zamknęła oczy. „Co się stało?“, zapytałam. Na co ona: „Wtulam się w twoje słowa“.

- Urocze.

- Poza tym komplementy pod adresem Aliénor ogromnie mnie cieszą.

Na głuchego nie trafiło. Wystrzeliłem ostatnią pochwalną salwę na temat stylu pisarki. Trochę przesadziłem, ale tylko dla dobra sprawy. Astrolab nie ukrywała, jak wielką jej to sprawia przyjemność, a był to cudowny widok.

Kiedy skończyłem swój popis, pani moich myśli zaklaskała:

- Jest pan najlepszym pochlebcą, jakiego znam. Aliénor jest zachwycona.

Miałem co do tego pewne wątpliwości, bo pisarka w wielkim skupieniu wpatrywała się zachłannie w ornament na pudełku od Ladurého.

- Dlatego, że te pochwały pochodzą ze szczerego serca - oświadczyłem.

- Jest pan znacznie lepszym krytykiem literackim niż osobnik, po którym pan wziął imię.

- Miło mi to słyszeć - powiedziałem, zdziwiony, że zapamiętała moje słowa.

- Jak pan trafił do elektrociepłowni?

Uradowany jej zainteresowaniem, przedstawiłem krótką biografię miłośnika filologii, któremu wszelako nie uśmiechało się zostać nauczycielem. W 1996 roku elektrociepłownia, w owym czasie u szczytu potęgi, wyasygnowała środki na wydanie zbioru opowiadań, których tematem byłyby różne nieznanne sposoby wykorzystania elektryczności. Mając dwadzieścia dziewięć lat, zostałem przyjęty na stanowisko dyrektora literackiego. W domu wydawniczym pozycja taka uczyniłaby ze mnie grubą rybę; w elektrociepłowni czułem się raczej kimś nie na miejscu. Kiedy budżet obcięto, poprosiłem, żeby mnie nie zwalniano. I wtedy znaleźli mi tę fuchę, którą do dziś wykonuję.

- To piękna praca - powiedziała Astrolab. - Spotyka pan najróżniejszych ludzi.  
- Mam do czynienia głównie z dołami społecznymi. Z obcokrajowcami, którzy myślą, że chcę ich wyrzucić, z ludźmi obnoszącymi się ze swoją biedą, jakbym to ja był jej winny, z asystentkami pisarek, które denerwują moje umizgi.  
Uśmiechnęła się. Aliénor zażyczyła sobie herbaty. Piła filiżankę za filiżanką.  
Teraz już wiedziałem, dlaczego Astrolab przygotowała taki wielki czajnik.  
- Aliénor nie robi nic połowicznie - skwitowała. - Jak pije herbatę, to do samego dna.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Pisarka poczłapała do toalety, wróciła, znowu poszła i tak w kółko. Mieliśmy do czynienia z ciekawym przypadkiem ciągłego ruchu. Za każdym jej wyjściem korzystałem ze sposobności, żeby przygotować grunt:

- Tak bardzo bym chciał się z panią jeszcze raz zobaczyć.

Albo:

- Mam na pani punkcie obsesję.

Albo:

- Nawet w trzech kurtkach nałożonych jedna na drugą wygląda pani delikatnie i wdzięcznie.

Albo po prostu ująć jej dłoń.

Ale pośpieszny powrót Aliénor nie dawał młodej kobiecie czasu na pozbycie się skrępowania i odpowiedź.

Najchętniej bym zasugerował pisarce przeniesienie się do toalety na całą godzinę. Po co ma wracać, skoro zaraz nas znowu opuści? Podejrzywałem tę osobniczkę o pewną infantylną przewrotność. W końcu zwracając się do Astrolab, stwierdziłem:

- Niezbyt pani rozmowna.

- Nie wiem, co panu powiedzieć.

- W porządku, zrozumiałem.

- Nie, nie rozumiał pan.

Na skrawku kartki zanotowałem swój adres. Wiedziałem, że już go ma, ale przezorności nigdy nie za wiele.

- Może pisząc, znajdzie pani odpowiedź - powiedziałem i wyszedłem.

Zakochanie się zimową porą to nie najlepszy pomysł. Symptomy uczuć są wtedy subtelniejsze i bardziej bolesne. Idealne światło chłodu sprzyja posepnej rozkoszy oczekiwania. Dreszcz potęguje gorączkowość. Tego, kto zadrzy się na świętą Łucję, czekają trzy miesiące patologicznego dygotu.

Inne pory roku mają swoje sposoby przymilania się, pąki kwiatów, grona i liście, wśród których można zapomnieć o rozterkach serca. Zimowa nagość nie dostarcza żadnego schronienia. Jeszcze bardziej zdradziecka od fatamorgany pustyni jest fatamorgana zimna, oaza kręgu polarnego, skandaliczne piękno zaistniałe dzięki ujemnej temperaturze.

Wspólną cechą zimy i miłości jest to, że wzbudzają potrzebę pociechy u tych, którzy ich doświadczają; równoczesność obu tych zjawisk pociechę wyklucza. Ulgę w zimnie przynosi ciepło, lecz obrzydza miłość wrażeniem obsceniczości; ulgę w namiętności przynosi otwarcie okien i wpuszczenie świeżego powietrza, lecz w rekordowym tempie tę namiętność studzi.

Moja fatamorgana zimna miała na imię Astrolab. Widziałem ją wszędzie. W myślach przeżywałem z nią niekończące się zimowe noce, podczas których w swojej nieogrzewanej norze szczękała zębami z zimna. Miłość nie dopuszcza zarozumiałstwa; zamiast wyobrazić sobie żar, który moje ciało mogłoby tchnąć w jej ciało, pokonywałem razem z panią moich myśli kolejne stopnie w dół; lodowate oparzenie, które mogliśmy wspólnie osiągnąć, nie znało granic.

Zimno nie było już zagrożeniem, tylko najwyższą potęgą, która nas ożywiała, która przemawiała własnym głosem: „Jestem zimnem i panuję nad światem z powodu tak prostego, że nikomu to nawet nie przyszło do głowy - bo pragnę, by mnie odczuwano. Każdy artysta tego pragnie. Ale żadnemu artyście nie udało się osiągnąć tego w takim stopniu jak mnie, czują mnie wszyscy ludzie i wszystkie światy. Kiedy już słońce i wszystkie inne gwiazdy zgasną, ja nadal będę płonęło, a wszyscy żywi i umarli poczują mój uścisk. Jakikolwiek będą plany nieba, jedno jest pewne: ostatnie słowo należeć będzie do mnie. Tak wielka pycha nie wyklucza pokory, jestem niczym, jeśli się mnie nie odczuwa, bez dreszczu innych nie istnieję, zimno również wymaga paliwa, moim zaś jest cierpienie was wszystkich po wieki wieków”.

Dzielnie znosiłem zimno, nie tylko pragnąc dzielić los mojej ukochanej, ale również dlatego, by oddać hołd międzyplanetarnemu artyście.

Ze zdumieniem czytam, co napisałem: człowiek, który za kilka godzin roztrzaska samolot z setką pasażerów na pokładzie, mając okazję spisania swych ostatnich przemyśleń, popada w skrajny liryzm.

Po co dokonywać zamachu, skoro się człowiek roztkliwia jak pierwszy lepszy?

Po namyśle zaczynam się zastanawiać, czy aby nie odkryłem tu klucza do zagadki: ci, którzy podejmują bezpośrednie działanie, liczą, że odnajdą w nim męskość, której im nie dostaje. Mój los kamikaze utrwali to nieporozumienie. Niepiśmienne matki będą pękały z dumy: „Mój syn nie był babą, to on porwał boeinga Panamu...”. Całe

szczęście, że te zapiski przypadną razem ze mną, bo to ten rodzaj sekretu, którym lepiej się nie chwalić.

To oczywiście ją, Astrolab, próbuję zadziwić. Wiem już, że tak się nie stanie, wychodzę naprzeciw własnej porażce z odwagą głupca. Czasami trzeba działać, nawet mając pewność, że nie zostanie się zrozumianym.

Jest dziesiąta czterdzieści pięć. Cieszę się, że mam czas, by ciągnąć dalej tę opowieść, z którą dobrze się czuję. Pragnienie, by czuć się dobrze, jest niedorzecznie wygórowaną ambicją, skoro w ogóle czuć się zdarza się tak rzadko. Pisanie mobilizuje ważny segment ciała, jest fizycznym wprowadzaniem myśli w życie. Od kilku tygodni wiem, że spowoduję katastrofę lotniczą, przygotowuję się do tego. Nowe jest to, że o tym piszę. A pisanie o czymś dostarcza znacznie mocniejszych wrażeń niż tylko wyobrażanie sobie tego.

Najlepiej byłoby napisać o wszystkim już po fakcie. Niestety, z za grobu pisać się nie da. Wszyscy nad tym ubolewają. Nikt zapewne nie ocaleje, więc też nikt nie będzie mógł opowiedzieć, jak tego dokonałem. Zresztą to niezbyt ciekawe.

Denerwują mnie tymi swoimi idiotycznymi środkami ostrożności. Niezależnie od wszelkich zakazów, zawsze znajdzie się jakiś prosty sposób na porwanie samolotu. Jedynym sensownym środkiem ostrożności byłoby zlikwidowanie lotnictwa. Jak prosty terrorysta miałby nie marzyć o zdobyciu w ten czy inny sposób tych cudownych latających maszyn? Terrorysta działający w pociągu, autobusie czy na dancingu to mizeria. Terrorysta siłą rzeczy aspiruje do przestworzy - a większość tych kamikaze aspiruje do nich podwójnie, przewidując, co ich czeka po drugiej stronie. Terrorysta naziemny jest trochę jak marynarz słodkich wód.

Żaden terrorysta nie działa bez ideału - prawda, że okrutnego, ale zawsze ideału. I to, że chmury są tylko pretekstem, niewiele zmienia; bez pretekstu nie ma przejścia do czynu. Terrorysta potrzebuje takiej iluzorycznej legitymizacji, zwłaszcza jeśli jest kamikaze.

Ideał ów, religijny, nacjonalistyczny czy inny, zawsze przybiera formę hasła.

Koestler słusznie zauważył, że na ziemi najczęściej zabija mowa.

Ten, kto czeka na list od ukochanej osoby, zna tę życiodajną lub śmiertcionośną moc słowa. Ze mną byto coraz gorzej, bo Astrolab nie śpieszyła się z odpisaniem; moje istnienie zawisło od mowy, której jeszcze nie było, od prawdopodobieństwa powstania tej mowy. Fizyka kwantowa na użytek epistolografii. Słyszac kroki dozorczyńni na podeście schodów, w porze gdy roznosiła pocztę, którą wsuwała pod drzwi, doświadczałem transu mistyka poddanego boskiej próbie. Rozpoznając po kopercie rachunek lub reklamę, doświadczałem odrzucenia, brutalnej odmowy Boga, któremu nagle zaczynałem wyrzucać nieistnienie.

Gdybym nie mieszkał w zwykłej kamienicy, nie przeżyłbym owego teologicznego doświadczenia związanego z odgłosem kroków dozorczyńni roznoszącej

pocztę. Ludzie, którzy muszą schodzić po listy do skrzynki, nie mają tego przywileju. Nie wątpię, że mocno bije im serce, kiedy ją otwierają. Ale słuchanie, jak po schodach wchodzi własne przeznaczenie, jest doznaniem nieporównywalnym z żadnym innym. Pod koniec stycznia nastąpił cud: pod drzwi wślizgnęła się odręcznie zaadresowana koperta. Ręce tak mi się trzęsły, że skaleczyłem się nożem do papieru. Czytając list po raz pierwszy, nie mogłem oddychać, a skończywszy, pragnąłem przedłużyć tę oddechową zapaść. Nie dlatego, że nie spodobała mi się zawartość, bo połowa zdań była taka, że mało nie padłem z radości, ale druga połowa mnie dobiła. Treść listu znam na pamięć. Odtworzenie jej tutaj za bardzo by mnie rozstroiło. Astrolab napisała, że nie może ulec uczuciom, które w niej wzbudzam, bo opieka nad Aliénor jest kapłańską posługą, uniemożliwiającą jej miłość. Opuszczenie pisarki byłoby równoznaczne z jej uśmierceniem.

Wzbudzałem w niej uczucie - tego się nie spodziewałem. A jednak ten list był gorszy niż pismo o odrzuceniu powództwa. Już miałem dotknąć ideału, a tu jakaś upośledzona na umyśle kaleka mi go odbiera. Powód był szlachetny i bezsporny, niemniej nie przyjmowałem go do wiadomości. Najchętniej bym debilkę po prostu udusił. Czyli należało poświęcić się dla takiego wyrzutka ludzkości! Czy choć świadomego uśmiechu losu, jakim było dzielenie życia z takim aniołem? Skoro do szczęścia wystarczał jej garnek tłuczonych kartofli?

Od razu odpisałem. Miałem dość rozsądku, by przemilczeć nienawistne słowa pod adresem jej debilnej współmieszkanki - gdybym wyraził bodaj niewielką ich część, Astrolab z miejsca by mnie skreśliła. Napisałem, że miłość ciągnie do miłości; że niekoniecznie musi wybierać między miłością do Aliénor i miłością do mnie. Możemy żyć we trójkę. Pomogę jej w opiece nad pisarką, odciążę z części obowiązków. Spisując gorączkowo owe frazesy, próbowałem sobie wmówić, że odpowiadają moim pragnieniom. Moja nieszczerłość wobec samego siebie była jasna jak słońce, dzielenie pani moich myśli z jej głupkowatą podopieczną w najmniejszym stopniu mnie nie nęciło. Wyobrażałem sobie różne groteskowe sceny: moje czułe tête-à-tête z Astrolab przerwane Bóg wie jakim atakiem debilki, kolacja przy świecach z Aliénor na dokładkę, która pożera wyszukane dania, nie zostawiwszy nam nawet czasu na ich spróbowanie, smarki z nosa autorki na moich koszulach, Astrolab zbyt zmęczona, żeby umyć przyjaciółkę, i prosząca mnie, żebym ją zastąpił, goła wariatka w wannie pełnej plastikowych kaczuszek - nie, aż na taką wielkoduszość się nie zdobędę. Byłem taki jak wszyscy: bałem się istot nienormalnych. Przeczuwałem, że tego atawistycznego strachu nie zdołam przełamać.

Tym razem Astrolab nie zwlekała z listem. Wyjaśniła w nim to, czego zdawałem się być nieświadomy: do jakiego stopnia mój plan był niewykonalny. Życie pod jednym dachem z osobą taką jak Aliénor wiąże się z obowiązkami i niedogodnościami, o jakich nie mam bladego wyobrażenia. Obecność osoby trzeciej, zamiast pomóc, byłaby tylko dodatkowym utrudnieniem.

Ostatnie zdanie zdołowało mnie do reszty: tą osobą trzecią byłem ja. Jak

mogłem przypuszczać, że będzie inaczej? Więż między tymi dwiema kobietami zawsze przeważa. Natychmiast poczułem wobec niedorozwiniętej śmiertelną zazdrość. Tak, chciałbym znaleźć się na jej miejscu. To nie ona cierpiała z powodu swojego kalectwa, tylko ja. A zresztą, cóż stoi na przeszkodzie, bym poszedł w jej ślady? Ja też mógłbym odstawić debila - jak wszyscy na zabój zakochani, byłem tego bliski. Skoro w ten sposób miałbym się przypodobać Astrolab!

W stanie bliskim furii wysmażyłem do niej pokrętną epistołę - po fakcie gratuluję sobie, że jej sens nie do końca był jasny. Nie wolno jej tak się wszystkiego wyrzekać. Oczywiście nie jestem aż takim kabotynem, by przypuszczać, że odrzucenie mojej miłości zrujnuje jej życie. Nie może jednak ignorować nakazów, jeśli nawet nie ciała, to serca i duszy; od jak dawna nie usłyszała od nikogo tych słów absolutnego zapamiętania, bez których trudno żyć? Przystanę na jej warunki. Zgodzę się na każdą formułę spotkań, jaką zaproponuje. Znajdę na pewno jakiś sposób, by ją uszczęśliwić, a jej szczęście spłynie również na Aliénor (co miałem głęboko gdzieś, detal, który przemilczałem). Już wiem, że nie zamieszkamy razem, mimo to moglibyśmy się widywać.

Wsunąłem list do jej skrzynki, żeby szybciej doszedł. Po drodze zastanawiałem się, skąd przekonanie, że ta dziewczyna, o której prawie nic nie wiedziałem, jest kobietą mojego życia. Dotąd jeszcze żadnej za taką nie uważałem. Kochałem ją bardziej, niż jej to wyznawałem.

A potem zamknąłem się w domu, licząc, że tą samą drogą mi odpowie. Żeby jeszcze bardziej spotęgować własne cierpienie, słuchałem w kółko *Śmierci i dziewczyny* Schuberta. I żałowałem, że nie palę; niszczenie sobie płuc pospołu z całą resztą nadaje cierpieniu większą spójność. Niestety, każda próba pociągnięcia „dymka” wydawała mi się równie trudna jak pilotowanie samolotu.

To, co napisałem, jest głupie, gdyż pilotowanie samolotu jest o wiele łatwiejsze od palenia. Przede wszystkim nie jest tak obwarowane zakazami. Nigdzie nie ma napisu:

„Zakaz pilotowania samolotu”. Jeśli człowiek powie komuś, że jest palaczem, tamten zmarszczy brwi. Jeśli rzuci, że jest pilotem liniowym, tamten popatrzy na niego z uznaniem.

Za chwilę będę miał okazję dowieść na oczach świata, że niepalący filolog, pracownik działu opieki socjalnej elektrociepłowni, jest w stanie bez pomocy personelu pokładowego naprowadzić boeinga na konkretny cel. Ale nie uprzedzajmy faktów. Wolę tu przytoczyć bilecik, który otrzymałem:

*Zoilu!*

*Spotkajmy się zatem w mieszkaniu Alienor i w jej obecności.*

*Astrolab*

Ten liścik, choć równie lodowaty jak miejsce, w którym wolno mi ją będzie spotkać, napełnił mnie radością. „I w jej obecności”: jako że Astrolab w sposób oczywisty nie proponowała mi trójkąta, oznaczało to, że w materii tak zwanych

miłosnych igraszek nie mam na co liczyć. Co z tego, że byłem na to przygotowany, nie była to dobra wiadomość. Ale się z nią zobaczę. Zobaczę się z panią moich myśli. Pozwoliła mi na to. Czyż to nie powód, by być najszcześniejszym z ludzi? Szybko sprawdziłem, co kryje się pod czasownikiem „zobaczyć”.

Zobaczyłem. „Zobaczyć” znaczyło „być widzianym”. Pierwszy pocałunek, który wyobrażałem sobie jako niebiański, stracił swój powab z chwilą, gdy dostrzegłem wpatrzoną w nas Aliénor. Nie rozumiała, dlaczego miałyby nas nie pożerać wzrokiem. Spytałem Astrolab, czy zawsze tak jest, kiedy przychodzi do niej zalotnik.

Odparła, że jestem jej pierwszym wielbicielem od czasu zamieszkania z pisarką. Spojrzenie debilki szybko ostudziło dumę, jaką wzbudziło we mnie to wyznanie.

- Nie mogłaby patrzeć gdzie indziej? - zapytałem.

- Do niej należy zwrócić się z tym pytaniem.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i przemówiłem do pisarki najłagodniejszym, na jakim mogłem się zdobyć, tonem:

- Aliénor, wyobraź sobie, że to ty jesteś na moim miejscu. Przecież przeszkadzałoby ci, gdyby cię w takiej chwili obserwowano, czyż nie?

Miałem wrażenie, że wybrałem najdziwniejsze z możliwych sformułowanie. Na twarzy stwory pojawiło się bezdenne zdziwienie.

- Aliénor nigdy nie miała adoratora - wyjaśniła moja ukochana.

- Ale pani chyba może mieć, prawda?

Astrolab odkaślnęła. Ewidentnie zachowałem się niestosownie. Mimo to znowu zacząłem ją całować, bardziej robiąc dobrą minę do złej gry niż powodowany prawdziwym pożądaniem. A wtedy pisarka wstała i podeszła, żeby nam się przyjrzeć z bliska. Poczulem na sobie jej wytrzeszczone oczy i przerwałem miłosne podchody.

- Nie mogę - jęknąłem. - Nie mogę.

- Spojrzenie Aliénor jest niewinne - zaprotestowała Astrolab.

- Wierzę. Ale to nic nie zmienia. Przykro mi.

- Szkoda - powiedziała młoda kobieta. - Bo mi się podobało.

- Nie krępuje cię wzrok osoby trzeciej?

- Zwrócił się pan do mnie per ty! - ucieszyła się Astrolab.

- Tak. I ty również pójdziesz w moje ślady, prawda?

- Zgoda. I będziesz też musiał zwracać się po imieniu do Aliénor.

Zmarszczyłem brwi. Czy między nimi dwiema nie doszło do zamiany tożsamości? Co by wyjaśniało, dlaczego mojej ukochanej nie przeszkadzało podglądactwo debilki.

Spróbowałem więc innych zabiegów mających na celu obłaskawienie osobniczki, która uniemożliwiała mi przeżycie romansu, o jakim nigdy nie śmiałybym marzyć.

- Przeczytałem wszystkie twoje książki. Są bardzo wyrafinowane i dowodzą twojej nieprzeciętnej inteligencji. Dlaczego więc, kiedy jestem z Astrolab, tak się zachowujesz?



Ośłupienie pisarki. Cisza.

- Aliénor rozumie pewne sprawy tylko w momencie, kiedy o nich pisze.

- Znakomicie. Czy nie mogłabyś więc pisać, kiedy jestem z Astrolab?

Cisza. Jak zawsze czekała, aż moja ukochana za nią odpowie.

- Aliénor nie pisze. Dyktuje mi. Sytuacja bez wyjścia.

Odczuwałem potrzebę długiej rozmowy z panią moich myśli, wyjaśnienia, jak wyobraża sobie nasz związek. Ale nieustanna obecność jej wścibskiej przyjaciółki przeszkadzała w jakiegokolwiek intymnej dyskusji. Z drugiej strony zaznaczyłem, że nagnę się do jej warunków; nie mogłem się teraz z tego wycofać, nie ryzykując zerwania. A zerwanie było tym, czego się najbardziej bałem.

Przyjąłem więc jedyną możliwą postawę: nauczyłem się cieszyć tą odrobiną, jaka była mi dana. Co wieczór po pracy przychodziłem do polarnego mieszkania i siadałem do kolacji z dwiema kobietami; starałem się nie widzieć, w jaki sposób Aliénor je szpinak, i opowiadałem coś trzy po trzy Astrolab, która litościwie mnie słuchała, po czym siadałem z nią na kanapie, gdzie nasze uściski zachłannie obserwowały wyłupiaste oczy debilki. Jak staroświecki narzeczony, o dwudziestej trzeciej żegnałem się i metrem wracałem do domu przygnębiony, rozzarowany i oszołomiony.

W weekendy zjawiałem się u nich rano. Przysłuchiwałem się seansom dyktowania, które uczyły mnie podziwu dla pisarki i wzmagaly mój szacunek dla jej oddanej sługi. Aliénor przemawiała jak wieszczka z Delf, wyrzucając swą pytyjską prozę raz powoli, raz w zapamiętaniu. Nie mogłem wychwycić ani jednego słowa padającego z jej ust, nie rozumiałem, w jakim mówi języku. Z początku myślałem, że Astrolab symultanicznie tłumaczy, ale zapewniła, że nie, że słowo w słowo notuje uniesienia pisarki. Pochwaliłem jej znakomity słuch.

- Kwestia przyzwyczajenia - stwierdziła.

- Szkoda, że Amerykanie nie mogą zobaczyć waszego tandemu. Wykpiwają naszą europejską koncepcję twórczości literackiej, mówią, że my, tacy materialści, stajemy się irracjonalnymi teologami, gdy w grę wchodzi natchnienie. Dlatego też, odwrotnie niż my, utrzymują, że pisarstwa można się nauczyć.

- Pisarstwa się nie uczy, pisarstwo się przyswaja. Aliénor nie od razu posiadała tę sztukę. Długo pracowała nad swoim narzędziem, czytając więcej, niż pisząc. Debilka czytała dużo, lecz niestety, nigdy w naszej obecności; nie ukrywała, że uważa nas za znacznie ciekawszych od swojej zwykłej strawy. W rzeczywistości nie obserwowała nas, ona nas czytała.

Pani moich myśli przygotowywała listę zakupów, które jej załatwiałem.

Czasami, bardzo rzadko, uznawszy, że umieściła na niej zbyt dużo pozycji, szła razem ze mną. A wtedy przeżywałem upajające chwile, supermarket zamieniał się w idylliczny buduar, w którym cudownie dyskretni ludzie nie gapili się, kiedy całowałem

się z ukochaną. Przedłużałem, ile tylko się dało, nasze czułe sam na sam w dziale owocowo-warzywnym, ale zawsze następowała w końcu chwila, kiedy Astrolab odsuwała się ode mnie, mówiąc:

- Aliénor pewnie się już niepokoi.

Wstrzymywałem się od komentarza cisnącego mi się na usta. Niemniej czułem się szczęśliwy, gdyż i tak wszystko było lepsze niż życie bez niej.

Wieczorem, obojętnie, w jaki sposób spędziliśmy czas, rozstając się z nią, nieodmiennie cierpiałem. Nawet cudowne ciepło metra nie było mi żadną pociechą.

Wolałem marznąć z Astrolab.

Zima stawała się coraz sroższa. Na próżno powoływałem się na swoją obecność, młoda kobieta pozostawała niewzruszona w kwestii ogrzewania, którego nie włączała z oszczędności, jednocześnie nie pozwalając mi pokryć rachunku.

- Można by pomyśleć, że to nie miłość, tylko miłosierdzie.

- Nie o ciebie mi chodzi, tylko o siebie. Umieram z zimna.

- Ejże! Biorąc mnie w ramiona, płoniesz.

- Wszystko jest względne, jestem tylko mniej lodowaty od ciebie.

Astrolab była wiecznie zakutana w trzy kurtki i kilka par spodni, groźny pancerz cnoty, pod którym jej ciało pozostawało dla mnie zagadką. Znałem tylko jej drobne dłonie i delikatną twarz. Kiedy ją całowałem, nos miała tak zimny, że drętwiały mi usta.

Lękałem się chwili rozstania. Kiedy zamykały się za mną drzwi, przechodziłem do innego świata. Wstępowałem wtedy w ognisty krąg, a myśli, które pod jej nieobecność chodziły mi po głowie, były straszne. Miałem do niej śmiertelny żal o ograniczenia, jakie mi narzuciła. Wiedziałem, że to niesprawiedliwe, bo przecież oświadczyłem, że na wszystko się zgadzam. Nienawiść była niewspółmierna do przyczyny, obie kobiety zajmowały w moim życiu zbyt mało miejsca, by być przedmiotem aż takiej niechęci.

Moja uraza już wkrótce przerodziła się w to, czym jest dzisiaj, w odrzucenie całego gatunku, ze mną włącznie. Dlatego zwykle samobójstwo mi nie wystarcza, muszę włączyć w mój akt samozagłady, w moją autodestrukcję większą liczbę ludzi, jak również któreś z arcydzieł będących przedmiotem dumy ludzkiej rasy.

Moje rozumowanie wygląda następująco: Astrolab jest czymś najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Nie ma przymiotów, jest przymiotem samym w sobie. Co nie przeszkodziło jej potraktować mnie z kastracyjnym okrucieństwem. Skoro więc najdoskonalszy okaz ludzkości tylko tyle jest wart, skończmy ze sprawą.

Zresztą to i tak niewiele w porównaniu z Apokalipsą, która najbardziej by mnie usatysfakcjonowała. Zdołam unicestwić jedynie dzieło konstruktorów i setkę jednostek. Po samotnym debiutancie trudno jednak spodziewać się więcej. Oby tylko mój próbny występ okazał się mistrzowski!

Ale znów wybiegłem naprzód.

Jako że Aliénor głośno i dobitnie oznajmiła, że udaje się na „dłuższe posiedzenie”, szybko skorzystałem z okazji, by wyjawić wreszcie ukochanej, co mi leży na sercu:

- Kiedy śpi, nie jesteś jej potrzebna. Mogłabyś wtedy do mnie przyjść.
  - Już o tym rozmawialiśmy.
  - Wiem. Ale tymczasem pożądanie stało się nie do wytrzymania, prawda?
  - Należało się tego spodziewać. Uprzedziłam cię.
  - Nie mówiłabyś tak, gdybyś pożałowała mnie tak, jak ja ciebie.
- Westchnęła. W takich chwilach nienawidziłem jej równie mocno, jak kochałem.
- Powiedz coś! - zawołałem.
  - Powtórzę to, co już mówiłam, zawsze będziemy z Aliénor.
  - Znakomicie. To dołączmy do niej w wychodku.
  - Nie bądź wulgarny, Zoilu.
  - Próbuję tylko wykazać niedorzeczność twojej zasady.
  - *Dura lex sed lex.*
  - Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś je zmieniła.
  - Przyrzekłam Aliénor, że nigdy jej nie zostawię.
  - Założę się, że już zapomniała o twojej obietnicy.
  - Ale ja o niej nie zapomniałam.

W tym momencie miałem taką ochotę ją zabić, że sam już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. I wtedy wpadłem na pomysł, który, chwilowo przynajmniej, mnie uratował:

- Reguła obowiązuje również ciebie. Jeśli więc zaproponuję jakąś rozrywkę we troje, zgodzisz się?
- Rozrywkę seksualną? - przestraszyła się.
- Ależ skąd.
- W takim razie oczywiście, że się zgodzę.

Nie posiadałem się z radości. Przekona się, co je czeka.

- W następną sobotę przyjdę do was późnym przedpołudniem. Nie jedzcie zbyt obfitego śniadania.
- Tą rozrywką będzie jedzenie?

Szybko się zastanowiłem.

- Można tak powiedzieć.
- Cudownie! Aliénor i ja jesteśmy okropnymi łakomczuchami.
- Nie mogę obiecać, że to będzie bardzo smaczne.

Pisarka wróciła z toalety z miną wyrażającą szczere ukontentowanie. Astrolab powiadomiła ją, że w najbliższą sobotę przygotuję dla nich obiad. Nienormalna zaklaskała w dłonie. Zacząłem odczuwać lekką treść.

- Cokolwiek przyniosę, zjecie to, prawda?

- Naturalnie - obruszyła się Astrolab. - Masz nas za osoby źle wychowane?

W decydującym dniu, nie chcąc im sprawić zawodu, zjawiłem się z ogromnymi, wypełnionymi po brzegi torbami.

W rzeczywistości napchałem je byle czym, żeby podtrzymać wersję o posiłku.

Na moją niespodziankę składały się trzy fiolki i płyta kompaktowa; wszystko z powodzeniem zmieściłoby się w kieszeni. Wsunąłem składankę do odtwarzacza.

- Pamiętałeś nawet o muzyce do posiłku! Cóż za wyrafinowanie!

Fiolki dla dziewczyn zawierały po gramie gwatemalskich grzybów psylocybinowych. W mojej była podwójna dawka, w końcu stary wyjadacz ma swoje potrzeby.

- Co to? - spytała Astrolab, biorąc ode mnie pojemnik.

- Apéritif - odpowiedziałem, gdy tymczasem miał to być cały posiłek.

Otworzyły swoje fiolki. Pisarka zakrzyknęła w ekstazie, ja zaś szybko pomyślałem, czy to możliwe, żeby wiedziała, co jest w środku.

- Masz rację, Aliénor - przytaknęła z zapalem Astrolab. - Jakie ładne są te suszone kurki. Można je też jeść?

- Jest to wręcz wskazane.

Nadszedł trudny moment, zwłaszcza dla mnie, wytrawnego praktyka; dziwne, ale ohydny smak trudniej znieść, kiedy się go już zna. Przeżucie całej dawki wymagało ode mnie niemałej odwagi. Astrolab zauważyła z zachwycającą uprzejmością:

- Co za osobliwy smak!

A pisarka dosłownie zawyla z rozkoszy. Pomyślałem, że pierwszy raz w życiu serwuję halucynogenne grzybki osobniczce niedorozwiniętej i że może mnie to trochę zdekoncentrować. Przyniosłem trzy szklanki wody i kazałem im wypić. Posłuchały, wypilem i ja z ulgą, że opłuczę usta z tej ohydy. Ciekawa rzecz, że wszystkie grzyby, nawet te trujące, są smaczne. Dlaczego tylko psylocybinowe, posiadające najbardziej dobroczynne działanie, są takie obrzydliwe? Możliwe, że natura w ten sposób uprzedza osobę zamierzającą je spożyć: uwaga, zaraz przeżyjesz coś bardzo szczególnego.

- Po co ta woda? - spytała Astrolab.

- Żeby podziałało - odpowiedziałem.

Chyba uwierzyła, że chodzi o zalecenie dietetyczne, i to ją uspokoiło.

Włączyłem odtwarzacz. Zabrzmiała muzyka. Wiedziałem, że upłynie dobre pół godziny, nim pojawią się pierwsze symptomy. Moja operacja była równie precyzyjnie rozplanowana w czasie jak napad na bank. Na podłodze rozłożyłem koce.

- Szykujesz rzymską ucztę? Będziemy jadły, leżąc? - zapytała pani moich myśli.

W odpowiedzi wygłosiłem jakiś banał; prawda była taka, że ludzie na haju często nie mogą ustać na nogach. Lepiej było zawczasu przygotować grunt.

- Co to za muzyka? - zapytała jeszcze.

- Aphex Twin.

- Dziwna, prawda?

- Za chwilę przestanie ci się wydawać dziwna.
- Chcesz powiedzieć, że dania będą tak zdumiewające, iż w porównaniu z nimi ujdą te dźwięki?
- To już koniec posiłku. Nic więcej nie zaplanowałem.

Milczenie.

- Zoilu, obawiam się, że przesadziłeś w ocenie mojego apetytu.
- Spożyliśmy wszyscy grzybki halucynogenne. Za jakieś dwadzieścia minut odlecimy.

Spodziewałem się zasłużonej nagany, bo nie raczy się nikogo grzybami psylocybinowymi, wcześniej go o tym nie uprzedziwszy. Jeśli dopuściłem się tak niewybaczalnego czynu, to tylko dlatego, iż byłem przekonany, że znając prawdę, Astrolab nigdy by się nie zgodziła. Nie mogąc się z nią kochać, chciałem przynajmniej wspólnie z nią przeżyć to jedyne w swoim rodzaju doświadczenie.

- Aliénor, masz pojęcie? - uradowała się moja ukochana. - Za chwilę będziemy miały halucynacje!

Wyjaśniłem, że z początku będzie nieprzyjemnie, lecz jeśli tylko nie spanikują, czeka je niesamowity odjazd.

- Skąd bierzesz te grzybki?
- Nie zdradza się nazwiska swojego dilerka.
- Jesteś dobrym klientem?
- Stałym, jeśli chcesz wiedzieć.

Zazdrościłem im obu dziewczyci. Nie miały bladego pojęcia, czego za chwilę doświadczą. Jeśli o mnie chodzi, miałem już za sobą tyle dobrych i niedobrych odjazdów, że moja niecierpliwość zaprawiona była pewną rezygnacją.

Korzystając z ostatnich chwil na stałym lądzie, wystąpiłem z diatrybą przeciwko zmianie holenderskiego prawa w kwestii narkotyków. Osiągnąłem właśnie apogeum oburzenia, kiedy spostrzegłem, że Astrolab zmienia się na twarzy i mamrocze:

- O la la!

Natychmiast poszukałem dłoni dziewczyny, chcąc jej zapewnić eskortę.

- Wszystko w porządku. Przy starcie samolotu pasażerowie często odczuwają zawrót głowy. Teraz jest tak samo, ale siedzisz w rakiecie, więc dyskomfort potrwa odrobinę dłużej. Wkrótce dotrzesz do kosmosu, ujrzysz z wielkiej odległości Ziemię. Z kolei zajęczała Aliénor. Astrolab schwyciła ją za rękę, po swojemu dodając otuchy. Tworzyliśmy łańcuch wzajemnego wsparcia.

Kiedy poczułem mdłości, zacząłem jak szalony i ze zwykłą skutecznością przełykać ślinę; nudności są niczym innym, jak tylko sygnałem, że się udało. Bardzo nieliczni pechowcy, na których psylocybina zupełnie nie działa, nie doświadczają takich wstępnych sensacji. Wyjaśniłem moim przyjaciółkom przejściowy charakter tego niemiłego doznania, okropnej przepustki do niezwykłych krain.

- Już do nich dotarłeś? - zapytałem Astrolab.

- Mur - oznajmiła w uniesieniu.

Nazwała tak szarobiałą ścianę działową między jej mieszkaniem i sąsiednim, tak zniszczoną, że bliską zawalenia. Nie dotarłem jeszcze na tyle wysoko, by zobaczyć to, co ona widziała, lecz mogłem się domyślić. Trudno sobie wyobrazić, jakich skarbów potrafi dostarczyć biała powierzchnia komuś, kto otworzył wrota swojej percepcji.

Aliénor wyciągnęła się na kocu.

- W porządku? - zapytałem.

Z nawiedzoną miną skinęła głową i zamknęła oczy. Istnieją dwie szkoły, podróży zewnętrznej i podróży wewnętrznej. Pisarka wyraźnie należała do tej drugiej kategorii. Bardzo mi to odpowiadało, z zamkniętymi oczami będzie mniej uciążliwa. Astrolab odwrótnie: wytrzeszczyła oczy wielkie jak spodki. Halucynacja nie dopuszcza zmęczenia i wiedziałem, że jeśli w porę nie zainterweniuję, jest gotowa przez pełne osiem godzin podziwiać ścianę przed sobą. Skłoniłem ją, żeby przeniosła wzrok na poduszkę barwy błękitu Nattiera, którą położyłem jej na kolanach. I w tym momencie rozwarły się z kolei moje wrota i zatopiłem się w kontemplacji, tak jak pragnąłbym zatopić się w mojej ukochanej. By upewnić się, że odbieramy to samo, zacząłem nią kierować:

- Czy widziałeś już kiedyś coś równie niezwykłego, jak ten kolor? Zanurz się w nim, odczuj jego istnienie. Napełń się całą tym błękitem Nattiera.

- Nattiera?

- Francuskiego malarza z osiemnastego wieku. To on stworzył ten kolor.

Wyobraź sobie, jak to jest coś takiego wymyślić.

- Jaki piękny - wyszeptła.

- Czemu mówisz tak cicho?

- Bo to takie piękne, że musi być sekretem.

Roześmiałem się, wiedziałem, co chce przez to powiedzieć.

Towarzyszyłem jej do serca błękitu. Subtelność koloru napełniła nas niepohamowaną radością. Pochylaliśmy się oboje nad poduszką, pragnąc pełniej wczuć się w to odkrycie.

- Czuję się tak, jakbym nigdy nie widziała tego pokoju - powiedziała Astrolab. - Jakbym nigdy nic nie widziała. Patrząc na błękit poduszki, czuję się tak, jakbym nigdy nie widziała koloru.

- Powróciłaś do swojego odbioru rzeczywistości z czasu, kiedy miałaś rok, dwa lata. Zauważ, w jaki sposób w metrze niemowlęta rozglądają się dookoła, są w takiej chwili ewidentnie na pełnym odlocie.

- I pomyśleć, że żyjemy pośród takiego przepychu, ale go nie dostrzegamy!

- Najważniejsze, że dostrzegamy go teraz.

- Dlaczego, dorastając, przestajemy widzieć?

- Właśnie dlatego, że dorastamy. Uczymy się twardych reguł przeżycia, które zmuszają nas do skupienia się na tym, co użyteczne. Nasze oczy odwykają od piękna.

Dzięki grzybkom odnajdujemy dziecięce postrzeganie świata.

- Między innymi dlatego czuję się taka szczęśliwa?

- Tak. Wyobraź to sobie: jesteśmy szczęśliwi jak dwuletnie dzieci, cieszące się niezależnością dorosłych.

- Nie potrzebuję sobie tego wyobrażać, ja to przeżywam.

Pocałowałem ją. Popatrzyła mi w oczy i wybuchnęła śmiechem.

- Na całej skórze masz wypisane różne słowa - powiedziała, dotykając moich policzków.

- Odczytaj je.

- Nie umiem. To chińskie ideogramy. Wyglądasz jak karta dań w Żłotym Buddzie.

Kontemplowałem jej twarz, kontemplując siebie. Patrzenie na Astrolab przyprawiało mnie niezmiennie o szaleństwo. Patrzenie na nią z głębi haju potęgowało mój obłęd, tym bardziej że ona również przeżywała odlot i to było widać: jej źrenice wypełniały całe tęczówki, tęczówki wypełniały całą twarz, a twarz wypełniała cały pokój.

- Więc to ty jesteś moim ukochanym? - zapytała ze zdziwieniem.

- Mam taką nadzieję. Czy coś nie tak?

- Nie. Pozwól, niech popatrzę, z czego jesteś zrobiony.

Zaczęła mnie dokładnie oglądać, zajrzała mi nawet za uszy. Jej głowa, teraz ogromna, regularnie przybliżała się do mojej, widziałem jej olbrzymie oko wnikające mi w nozdrza, czułem się, jakbym z jakąś olbrzymką bawił się w doktora.

Uniosła mi sweter, osłuchując mnie wszędzie, przykładając ucho do moich pleców, do torsu, do brzucha.

- Słyszę jakieś niesamowite odgłosy - wyszeptała w uniesieniu.

- To odgłosy pożądania.

Zaintrygowana, znowu posłuchała.

- Twoje pożądanie hałasuje jak zmywarka do naczyń.

- Tak, jest wieloczynnościowe.

Opuściła mój sweter, uznając badanie za skończone. Miałem do niej żal, że haj nie umniejszył jej czujności, że stosowała tak bezwzględnie swój koszmarny regulamin.

Naprzeciwko Aliénor wyglądała jak kamienny pomnik na własnym grobie.

- Myślisz, że dobrze się czuje?

- Na pewno. Spójrz tylko na jej rysy, jakie są odprężone. Z naszej trójki ona ma najlepszy odlot.

- Czemu zamknęła oczy?

- Ma rację. Spróbuj i ty.

Moja ukochana przymknęła powieki i wydała okrzyk.

- Prawda? - rzuciłem.

- Widzę w swojej głowie niezwykłą wystawę sztuki współczesnej.

- Otóż to. Nawet nie trzeba iść do Beaubourga.

Zdumiona, otworzyła oczy.

- Kandinsky, Miro, ci inni, których nazwisk zapomniałam, to oni wszyscy brali?

- Tak.

Rozpoczęliśmy klasyczną rozmowę podróżników, która wydałaby się nudna komuś, kto nie wyruszył w drogę.

- A Rothko brał?

- Tak.

- I Nicolas de Staël?

- No pewnie!

Każdy z nowych członków klubu witany był z wielkim uniesieniem, jak brat.

Tego typu dialog mógł trwać godzinami. Wołałem przerwać tę wyliczankę i skierować uwagę Astrolab na sprawę najważniejszą.

- A teraz pokażę ci, co w tym pokoju jest najpiękniejsze.

Usiadłem na ziemi, powiedziałem, żeby usiadła obok mnie, i wskazałem podłogę, normalnie niewartą nawet cienia uwagi. Astrolab wlepiła w nią oczy i wydała okrzyk zachwytu.

Niemniej wołałem się upewnić, że oglądamy to samo.

- Widzisz to, co ja widzę?

- Widzę lód. Jezioro pokryte lodem - powiedziała.

- Tak, dobrze.

- Widzę doskonale przezroczystą warstwę lodu, a pod nią zatopiony świat, zabójczo piękny.

- Opowiedz o tym.

- Są tu zastygłe w lodzie nieznane mi kwiaty, kariatydy płatków, mróz poraził je jak błyskawica, są nieświadome własnej śmierci, spójrz, zupełnie jakby próbowały przebić lód, podobno trupom nadal rosną włosy, a może te kwiaty są włosami jakiejś zmarłej dziewczyny, tak, widzę ją, Zoilu, spójrz, widzisz ją?

- Nie.

- Ależ tak, popatrz, tam, między marmurowymi kolumnami.

- To Artemizjon z Efezu!

- Przecież ta świątynia już nie istnieje.

- Owszem. Ale ty i ja wiemy, gdzie się znajduje: pod twoją podłogą!

- A ją, dziewczynę, widzisz?

- Nie. Nie możemy zobaczyć dokładnie tego samego. Już i tak to cudowne, że oboje rozpoznajemy świątynię Artemidy. Co jest niezbitym dowodem, że tam się właśnie znajduje.

- Niestety, zapomnimy o niej.

- Nie, nie zapomnimy niczego, cośmy przeżyli w czasie tej podróży.

- Nigdy już nie zobaczymy tego, co teraz widzimy.

- Fakt. Ale to zapamiętamy i nie będziemy postrzegali już świata jak kiedyś.



- Na czym polega ta tajemnicza łączność między Efezem i nędznym lokum w paryskim Montorgueil? Nie mówiąc już o więzi, łączącej piąty wiek przed Chrystusem z naszą epoką?

- Tą więzią jest nasz umysł. Jesteśmy sobie presokratycznie przeznaczeni. Roześmiała się i z powrotem zatopiła w kontemplacji świata, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

Zostałem sam. To, co powiedziałem, wyrażało istotę moich myśli.

Presokratyczny sobowtór wydawał mi się czymś prawdziwszym niż sobowtór platoński. Platon, on też brał. Jego dialog o jaskini trochę za bardzo przypominał relację z haju. Ale wywiódł z tego fałszywe przesłanki, które budzą mój sprzeciw. Bo jak zaakceptować teorię miłości stworzoną przez faceta, który oddziela duszę od ciała, ustala ich hierarchię, który zresztą wszystko w społeczeństwie hierarchizuje? W czasach przed Sokratesem miłość musiała wyglądać inaczej.

Obserwowałem obie podróżniczki. Jedna w muzułmańskiej pozie modlitewnej szeroko otwartymi oczami podziwiała świat pod lodem. Druga z zamkniętymi oczami leżała na wznak i eksplorowała swoje wewnętrzne bogactwa.

Trzeba przyznać, że Aliénor nas prześcignęła. Ja sam nigdy nie osiągnąłem takiej jakości odlotu. Zaaplikowałem im obu rekreacyjną dawkę psylocybiny.

Tymczasem pisarka zareagowała, jakby przyjęła czterokrotnie większą; osiągnęła tak zwane stadium psychodeliczne. Astrolab przeżywała wyrafinowany relaks, Aliénor kreowała niepoznawalną rzeczywistość.

Aphex Twin skończyli piosenkę i zaczęli śpiewać następną: *Zigomatic 17*, której krótkie niczym zwarcia elektryczne brzmienia kreśliły elektroencefalogram w kształcie fonicznego baobabu, i nagle wiedziałem już, kim jest Aliénor Malèze, i przemówiłem do niej tymi oto uskrzydłonymi słowami, jesteś baobabem, Aliénor, dlatego się nie poruszasz, pierwsi ludzie Afryki wypróbowali wszystkie drzewa, i każde się do czegoś nadawało: jedno dobrze się paliło, z innego wytwarzano dobre luki i dobre narzędzia, to zyskiwało, kiedy je godzinami przeżuowano, tamto rosło tak szybko, że w rok przeobrażało krajobraz, inne, starte, dodawało aromatu mięsiwom, tym myło się włosy, tamto przywracało męskość temu, kto stracił ją podczas polowania; z jednego tylko baobabu nie było żadnego pożytku, daremnie eksperymentowano z jego drewnem, co zrobić z nieprzydatnym do niczego drzewem, co zresztą robi się z czymś do niczego nieprzydatnym, drzewem czy człowiekiem, uznaje się je za święte, oto jego użyteczność, służy do bycia świętym, nie wolno dotykać baobabu, jest święty, ludzie potrzebują świętości, wiesz, tego czegoś, czego się za grosz nie rozumie, ale co pomaga na to i owo, pomaga, jeśli ci ciężko na sercu, idź i usiądź w cieniu baobabu, weź z niego przykład, bądź wielki i bezużyteczny, utwórz koronę z gałęzi tylko z tego powodu, że się rozrastasz, żadne inne afrykańskie drzewo nie jest tak olbrzymie jak to, które niczemu nie służy, otóż to, zrozumiałaś, wielkie jest

bezużyteczne, ludzie potrzebują wielkości, bo jest absolutem, to kwestia rozmiaru, a nie struktury, jeśli baobab jakimś cudem zmaleje, stanie się brokułem, brokuły można jeść, baobab to kosmiczny brokuł, o którym mówił Salvador Dali, Aiiénor zaś jest człowieczą wersją tego zjawiska, rozmiarami oscyluje między baobabem i brokiem, to dlatego jej książki są tak fascynujące".

- Co ty wygadujesz? - zapytała Astrolab.

„A więc to ja mówiłem, słyszałem jakiś głos, nadal go słyszę, Astrolab, czy słyszysz bicie mojego serca, wstąp w jego głuche pulsowanie, opleć mnie swym ciałem i pozwól posłuchać muzyki twojej katedry.

Wyciągam do ciebie dłoń, twoja jest tak zimna, że nie znajduję słów, by to wyrazić, próbuję cię rozgrzać, otaczam ramionami i nogami twoje skulone ciało, chucham na ciebie swoim ciepłym oddechem, jak dmuchacz szkła wytwarzam wokół nas bańkę, oto jesteś w moim uścisku, którego anagramem jest wieczność, zauważyłaś, że czas już nie istnieje, na haju minuta, godzina, stulecie stają się synonimami, opleć mnie nogami i ramionami, tak jak ja ciebie, jesteśmy ludzką bańką, ta piosenka nazywa się *Zigomatic 17* i rozbrzmiewa od tysiąca lat, zrobię z tobą różne fascynujące rzeczy, które przywrócą ci ciepło, nie przejmuj się Aliénor, przy baobabie można się kochać, gigantycznym brokułom to nie przeszkadza, mam tak samo jak ty gęsią skórę z pożądania, ale i z zimna, już przywykłem, na haju jest okropnie zimno, to dlatego, by nam przypomnieć o sensie życia, we wszechświecie zapanowałoby bezkresne prawo zimna, gdyby nie eksplozja iskry, która zapoczątkowała życie, świat jest niczym innym, jak tym właśnie, ciągłą walką między ciepłem i zimnem, śmiercią i życiem, mrozem i ogniem, nigdy nie wolno zapominać, że zimno poprzedziło ciepło, jest więc silniejsze i któregoś dnia nad nami zatriumfuje, tymczasem trzeba żyć i walczyć z nim, jesteś śniegiem, który zaraz roztopię".

Samemu w to nie wierząc, udaje mi się ją rozebrać, tak łatwo jest odkryć piękno, wystarczy zdjąć z niego ubranie, niestety, prawie od razu napotykam trudność, Astrolab jest stworzona z kamienia w sensie dosłownym, zmuszony byłem to sobie powiedzieć, jest posągiem, ogląda się, dotyka, co mi jest, zwykle nie mam takiego ciała, czy wszędzie taka jestem, tak, cała jesteś z kamienia, śmieje się, chociaż mnie wcale nie do śmiechu, pyta, czy kochałem się już kiedyś po zażyciu grzybków, nie, ale mam przyjaciół, którzy potrafili to robić, chyba to możliwe, pyta mnie, czy to właśnie znaczy być *stone*, z kamienia, przypuszczam, że tak, to straszne poznać w takich okolicznościach prawdziwość tego powiedzenia, pieszczę ją w nadziei, że zdołam przywrócić jej cielesność, ale Astrolab coraz bardziej sztywnieje, czy to możliwe, aby być do tego stopnia twardą, okłada się pięściami po brzuchu, jest zdumiona, mówi, że nie czuje nic oprócz bólu dłoni, jestem posągiem z lodu, na koniec stwierdza.

Zrozpaczony biorę ją w ramiona, jak długo potrwa jej twardość, oto jest pytanie, Astrolab, na odlocie czas nie istnieje, jeśli jesteś *stone* przez dziesięć minut, to tak, jakbyś była przez dziesięć godzin, dziesięć miesięcy, utknęliśmy w sferze

bezczasowej, cudowna rzecz, kiedy jest się szczęśliwym, lecz gdy się cierpi, to piekło, wystarczy nie cierpieć, ale jak nie cierpieć, kiedy czuje się najwyższe pożądanie, a to drugie jest z kamienia, śmieje się, do kitu był ten twój plan, biedny Zoilu.

Jej śmiech zbija mnie z tropu, dociera do mnie, że wcale nie jest jej przykro, może nawet ma z tego frajdę, samotnie przeżywam frustrację, nawet jeśli mnie kocha, to tak, jak kochają lodowe posągi, chłonę wzrokiem jej niedostępne piękno; jeśli śmierć nas zwycięża, jeśli jej ulegamy, to dlatego że jest piękna i dlatego że nie możemy się z nią kochać.

Piosenka *Zigomatic 17* dobiega końca. Tak więc mój niemądry dramat trwał wszystkiego osiem minut. Muzyka to klepsydra haju. W ciągu ośmiu minut, wydających się rokiem, wszystko straciłem.

Astrolab ubiera się i radzi mi zrobić to samo. Wdziękam z powrotem swoją zbroję smutku. Mówi, że robienie czegoś wspólnie nie ma znaczenia. Niektóre próby pocieszenia tylko potęgują ból. Milczę.

Rzeczywiście godzina współnictwa minęła. Astrolab mości się na kanapie i zatapia w kontemplacji jakiegoś opakowania, robiącego na niej, jak się zdaje, piorunujące wrażenie. Aliénor, która przez cały ten czas nawet nie drgnęła, pewnie komunikuje się w tym momencie z Duchem Świętym.

Przeglądałam się nam. Jesteśmy trójką Europejczyków, każde z nas podróżuje na własną rękę. Nie wszystkim dana jest łączność duchowa.

Przed chwilą Astrolab i ja ujrzelśmy pod podłogą skutą lodem Artemizjon z Efezu. Oboje widzieliśmy to samo z tą tylko różnicą, że moja ukochaną ujrzała pod lodem kobietę. Samą siebie.

Potem myśli nabrały niebywałej intensywności. Zaliczyłem wystarczająco wiele *bad trips*, by podchodzić teraz z dystansem do tego określenia. Gdybyśmy nie stali się takim wydelikacowanym plemieniem, wszyscy chcielibyśmy odbywać podobne wyprawy w czeluści piekła. Dlaczego podróż tam i z powrotem do gehenny nazywać złą? Zwykła myśl, że się z niej wraca, powinna złagodzić ów przymiotnik. Poza tym, oświadczam, warto zboczyć z drogi, by doświadczyć piekła.

To, co określa się mianem *bad trip*, polega na ostrości widzenia. Swój pierwszy *bad trip* przeżyłem w metrze. Nagle ujrzałem całą otaczającą mnie brzydotę. Nie wymyśliłem jej, istniała już wcześniej, ale chronił mnie przed nią ekran zwykłego tumiwisizmu. Pamiętam, że szpetota świata osiągnęła apogeum, gdy zobaczyłem krawat faceta siedzącego naprzeciwko. Nie było to przywidzenie, jego krawat śmiało mógł wzbudzić grozę w całej ludzkości, gdyby tylko ta poświęciła mu choć trochę uwagi. Pamiętam, że z trudem powstrzymałem się, by nie powiedzieć chłopakowi, żeby go zdjął i wyrzucił przez okno wagonu. Powiedziałbym mu: „Dla pana własnego dobra, proszę mi wierzyć”. A także dla mojego. Obrzydliwy deseń tego krawata dołował mnie, torturował, kazał postrzegać Apokalipsę jako słuszne rozwiązanie, jeśli tylko ten skrawek tkaniny unicestwiła.

Czyż nie miałem racji? Jak mogliśmy do tego stopnia oślepnąć, by uważać

brzydotę za coś znośnego? „Ejże, co kto lubi. A jeśli ten mężczyzna jest zadowolony ze swojego krawata?” Oto, co człowiek myśli, nie zażywszy grzybków. Na haju odrzuca się tego typu oszustwo. Noszenie takiego krawata to obelga, to zamach, to przejaw pogardy, to zachowanie zionące nienawiścią, ot co, ten facet mnie nienawidzi, nienawidzi całego rodzaju ludzkiego.

*Bad trip* jest ćwiczeniem trzeźwości spojrzenia, która ujawnia nam piekło tkwiące w krawacie użytkownika metra. Od dawna słyszymy, że piekło jest na ziemi, że piekło to bliźni! Nareszcie jakieś rzetelne potwierdzenie. Piekło to nasz bliźni nawet niekoniecznie w całości, wystarczy jego krawat.

W gruncie rzeczy nie ma żadnej różnicy między *bad trip* a *trip*, liczy się klarowne postrzeżenie. Łzy szczęścia z powodu błękitu Nattiera na poduszce są zachowaniem równie uzasadnionym, jak przeżywanie męczarni z powodu paskudnego krawata.

Jeśli szpetota fragmentu męskiej garderoby tak mnie dobiła, można sobie wyobrazić, jak niebywale cierpiałem po seksualnym fiasku z Astrolab.

Miałem pretensję do wszystkiego i wszystkich: do siebie, do Aliénor, do grzybków

psylocybinowych,

do

braku

grzybków

psylocybinowych,

do

elektrociepłowni, do ciała z kamienia mojej ukochanej, *last but not least*, do jej śmiechu. „Do kitu był twój plan, biedny Zoilu”. A nawet, choć to nie jej wina, miałem śmiertelną pretensję do samej Astrolab. Tak, mój plan był do kitu. Czy to nie powód, by przeklinać los? A ona? Ona się śmiała.

To właśnie wtedy mój projekt nabrał kształtów. Astrolab była najdoskonalszym wytworem wszechświata; skoro nawet taka elita potrafi zachować się w taki sposób, zniszczę świat. A że nie posiadam, niestety, środków, by obrócić wniwecz całą planetę, wybiorę przynajmniej cel równie niebotyczny jak moja odraza.

Od jedenastego września 2001 roku nikt już nie ma wątpliwości, jak najskuteczniej dopiec gatunkowi ludzkiemu. Czy to konieczne, żeby dzień w dzień aż tyle osób latało z miasta do miasta? Czy nie chodzi raczej o sprowokowanie tkwiącego w nas szaleńca? Jak nie marzyć o skierowaniu tych samolotów, nieustannie z nas szydzących nad naszymi głowami, na obiekt, którego unicestwieniem bylibyśmy zachwyceni?

Pozostawało mi tylko go wybrać. Kiedy jest się na haju, trudności prozy życia ulatniają się bez śladu; mój brak doświadczenia w materii pilotażu nie był żadnym problemem. Wszystko sprowadzało się do jednego stwierdzenia: nie jestem głębszy od autorów zamachu z jedenastego września 2001. A jeśli chodzi o cel, wykażę się

jeszcze większą ambicją.

Astrolab powinna poczuć, że to w nią mierzę. Nie, nie rąbnę boeingiem w małą kamienicę w dzielnicy Montorgueil. Bo skoro tak, to czemu nie w ptasie gniazdo? Jestem paryżaninem. Na obczyźnie, to znaczy poza granicą paryskiej obwodnicy, widziałem różne wspaniałe budowle. Ale nie należą one do świata mojej wyobraźni. Dlatego odrzuciłem Tadż Mahal, który jako symbol miłości świetnie by się nadawał do moich celów.

Potrzebny był mi obiekt paryski, więc pomyślałem, że wykażę się dobrym gustem i oczyszczę miasto z jego rakowatych narośli; chodziło mi nie tyle o wieżę Montparnasse, ile o któryś z tych prawdziwych koszmarów jak Sheraton na Montparnasse czy też szczyt absurdu, wieżę Jussieu, niedawno odazbestowaną, kiedy tak prosto i ekonomicznie byłoby sprawę zataić.

Dręczony skrupułami martwiłem się o szkody uboczne: w przypadku Sheratona istniało ryzyko, że trafię w cmentarz Montparnasse, a jak wszyscy mordercy więcej poszanowania mam dla umarłych niż dla żywych; i czy zdołam obrócić w ruinę wieżę Jussieu, nie niszcząc tak drogiego mojemu sercu Ogrodu Botanicznego?

Ale nie należało ulegać pokusie dobra. Chodziło o zniszczenie, a nie o przypodobanie się opinii publicznej. Z drugiej strony, skoro chciałem, żeby mój czyn pozostawał w związku z Astrolab, powinienem zniszczyć piękno.

A zresztą czyż niszczy się co innego? Historia ludzkości nie zna przykładu zamachu na brzydotę. Nie wzbudza ona emocji na tyle wielkich, by uzasadniały podjęcie tak ogromnych wysiłków. Rzecz skrajnie brzydka wywołuje tylko próżne oburzenie. Zapał konieczny do dzieła dewastacji wzbudza jedynie wzniosłe piękno. Mnich Mishima puścił z dymem Złoty Pawilon, a nie jeden z tych nowych wynalazków, które już wtedy szpeciły Kioto. To zastosowanie słów Wilde'a „Każdy zabija to, co kocha”<sup>3</sup> w architekturze.

W Paryżu nie brakuje piękna. Odrzuciłem Luwr, był za duży. W dodatku jak wybrać między dziełem malarstwa flamandzkiego a galerią greckiej rzeźby? Chodziło mi po głowie wiele pomysłów: ogrody Palais Royal, Obserwatorium, wieża Saint-Jacques, Notre Dame, ale ciągle miałem wrażenie, że nie miałyby to sensu. Potrzebny był mi jakiś zabytek, który w ten czy inny sposób odsyłałby do Astrolab. A gdybym ją o to zapytał?

- Czy jest w Paryżu jakaś budowla, z którą się utożsamiasz?

Astrolab zastanowiła się. Była zbyt naćpana, by uznać moje pytanie za dziwaczne. Rozszerzonymi źrenicami spojrzała na mnie łagodnie.

- Oczywiście. Nie domyślasz się?

- Nie wiem. Katakumby?

Roześmiała się.

- W którym z paryskich budynków największą rolę odegrał alfabet? - spytała.

- Nie mam pojęcia.

- Pomyśl o literze A.

Myślenie o jakiejś literze, kiedy jest się w podróży, to jak porywanie się na podbój imperium. Zwłaszcza jeśli chodzi o A, najmniej niewinną literę. Omam w postaci czarnej samogłoski wypełnił mi głowę głośnym dźwiękiem; sygnał telefonu rozciągał się w niekończące się AAAA, lasy A kroczyły stępą na obu swoich nogach, potrząsając egzotycznymi sztyletami w kształcie A. Niektóre malajskie kriss są A, paradną bronią, którą nie uśmierca się byle kogo. Większość ludzi najzwyczajniej się dusi, tylko książętom przysługuje prawo śmierci od noża w kształcie spiczastego A. 3 Cytat z poematu Oscara Wilde'a *Ballada o więzieniu w Reading* w przekładzie Jana Kasprowicza, 1923.

Nie wiem, jak długo zaprzętała mnie ta samogłoska. Astrolab musiała się znudzić, bo znów zabrała głos:

- To nie żadna zmyłka. Litera A była źródłem inspiracji dla konstruktora najświetniejszej budowli paryskiej.

- Łuku Triumfalnego?

- Ależ skąd! Wieży Eiffla. Litera A.

Wybałuszyłem oczy, tak jakbym na nowo odkrywał świat.

- Zdumiewa mnie, że tyłu Paryżan nie zna pochodzenia architektonicznego emblematu swojego miasta - powiedziała. - Gustave Eiffel był nieprzytomnie zakochany w kobiecie, która miała na imię Amélie. Stąd jego obsesja na punkcie litery A.

- To prawda?

- Oczywiście. Gdyby ta kobieta miała na imię Olga, symbol Paryża wyglądałby zupełnie inaczej.

Astrolab wyciągnęła się na podłodze obok Aliénor i zamknęła oczy. Obie - leżące figury nagrobne na haju - odpląnyły w dialog z Duchem Świętym.

Zostałem sam, oszołomiony tą informacją. Oto ja, który obawiałem się, że planowany akt zniszczenia nie będzie miał sensu, z zachwytem i zgrozą dowiedziałem się właśnie, jak dalece mój bohaterski czyn przypieczętuje związek symbolu z rzeczywistością.

Ujrzałem projekt w całej jego psychodelicznej oczywistości: porwę po prostu samolot i zniszczę wieżę Eiffla, ażeby obalić literę A, kojarzącą mi się z Astrolab i Aliénor. Są działania, w których człowiek rozpoznaje się wyraźniej niż w najczystszy z zwierciadła.

Oczywiście, trzeba będzie przezwyciężyć trochę trudności technicznych. Nie interesowały mnie, potem się nad tym zastanowię. Pomyśl zniszczenia wieży Eiffla wprowadził mnie w uniesienie, bo łączył w sobie znaczenie i piękno: czy istnieje coś piękniejszego niż wieża Eiffla? Zawsze ją uwielbiałem, nie wiedząc nawet, że była dziełem miłości. Poznanie jej prywatnej historii sprawiło, że stała mi się jeszcze

droższa. Cóż to był za facet z tego Gustave'a Eiffela, żeby tak wkomponować miłość swojego życia w największe, jakie kiedykolwiek u niego zamówiono, dzieło! Zrobię to samo, tyle że na odwrót: wkomponuję miłość mojego życia w największy akt zniszczenia, jakiego kiedykolwiek dokonałem. Żałowałem tylko, że nie ujrzę z zewnątrz tego cudownego momentu, kiedy samolot rozwała żelazną damę. Ale nikt też nie ujrzy tego, co zobaczą ja: wieża, wpierw maleńka, potem coraz ogromniejsza, coraz bliższa i w końcu nasz pocałunek, najgwałtowniejszy w dziejach, w pełni zasługujący na miano pocałunku śmierci.

Od razu też wiedziałem, że najtrudniejsze będzie nie sterroryzowanie załogi czy nauka podstaw pilotażu. Najtrudniej przyjdzie mi wytrwać w tym zamiarze. Nie obudzić się rano z myślą, że moje wczorajsze postanowienia były narkotycznym delirium. By zażegnać ryzyko zejścia na ziemię, ukulem kluczową formułę: słusność jest tylko po stronie haju. Od momentu ustąpienia symptomów muszę ją sobie nieustannie powtarzać.

Pomoże mi w tym moje głębokie przekonanie, że poza hajem nigdy nie ma się racji. W okresie abstynencji, kiedy stan ducha można określić jako normalny, umysł dorosłego człowieka produkuje bez liku banałów; daremnie by w nich szukać piękna, honoru, iskry wielkości lub geniuszu, które przyniosłyby chlubę naszemu rodzajowi. Nawet miłość jest w stanie wykrzesać z duszy jedynie błyski, słusnie nazywane piorunującymi, kilkusekundowe wyładowania. Z kolei upojenie alkoholem ciekawe jest tylko przez dziesięć minut. Potem to tylko bezmyślne pijaństwo.

Odjazd trwa osiem godzin. Taki przeciąg czasu pozwala tworzyć, rozważać, dociekać w nieskończoność znaczenia każdego wyrazu. Tym bardziej że owej jednej trzeciej doby nie sposób przeliczać według przyjętych kryteriów, wydaje się ona rozciągać w cykle proustowskie. Przeciętne wspomnienie jednego dnia waży tyle, co nie przedzy; wspomnienia z haju to klębek, który rozplątuje się przez całe życie. Zwyczajna praca umysłu jest obrazą inteligencji i nie zasługuje na miano myśli. Hajem kieruje logika, która uwalnia nas od banału, pozwala od nowa przeżyć pierwotny wstrząs w obliczu wszechrzeczy.

W mojej historii występowało trochę za dużo kobiet o imionach na literę A: Astrolab, Aliénor, Artemida i jej świątynia, Amélie Eiffela i jej wieża. Ta pierwsza samogłoska, której przewrotność podkreśla już Rimbaud, nie pojawiła się tu przypadkiem. Gigantyczne A górujące nad Paryżem doświadczy siły mojej żądy. Nikt nie powie, że moja miłość do Astrolab pozostała niespełniona. Akt seksualny, którego mi odmówiono w sypialni, skonsumuję w przestworzach, lecąc nisko nad miastem.

Koło godziny dwudziestej obie przyjaciółki w wybornych humorach powróciły na ziemię. Aliénor, która sprawiała wrażenie wyjątkowo szczęśliwej, wylewnie mnie ucałowała; ścierpiałem karesy zajęczej wargi, licząc na pocałunki Astrolab, które mnie

z nich oczyszczą. Ona jednak okazała większą powściągliwość.

- Podobało ci się? - zapytałem.

- Bardzo. Nawet jeśli twoje intencje były dość wątpliwe.

Głupia, nie wiedziała, że takimi wypowiedziami tylko umacnia moją decyzję.

Chętnie bym jej powiedział, że podobać mi się to zaszczyt, wyróżnienie, którego powinna umieć okazać się godna. Roześmiałyby mi się w twarz.

Kuskus w bistro naprzeciwko zjawił się w samą porę. Dziewczyny odkryły niewysłowione szczęście posilenia się po zejściu z haju. Pożywienie, nareszcie wolne od poczucia winy i zakazów, które od tysiącleci odbierają mu smak, beztrudno i radośnie samo wpada do ust. Po takim doświadczeniu nie sposób poczuć się ociężałym. Jedzenie jest tylko zabawą.

Uczestniczyłem w niej z zapalem mniejszym niż obie przyjaciółki. Trudno przełykać, kiedy ma się w brzuchu samolot. Ja, który bałem się, że nie wytrwam w postanowieniu, odkrywałem teraz, że to postanowienie przesłania sobą wszystko. Nie będę wolny, dopóki nie dokonam tego czynu; czułem się zaprogramowany jak bomba z opóźnionym zapłonem.

A już z pewnością zachowanie Astrolab by mnie od tego nie odwiodło.

Opowiadała o swojej podróży z entuzjazmem, który uważałem za niemądry. Co z tego, że wiedziałem, iż wszyscy neofici tak się zachowują - nie wzbudzało to we mnie ani empatii, ani wyrozumiałości.

Najwięcej pretensji ma się do ludzi wtedy, kiedy są niewinni. Świadom niesprawiedliwości mojej urazy, postanowiłem nie zrywać z nią, bo to ożywiłoby tylko moją namiętność, lecz się od niej odsunąć. „Dam głowę, że nawet tego nie zauważy”, pomyślałem.

Po co komplikować sobie życie? Kilka lat temu poznałem lotnika, niejakiego Maximiliena Figuiera. Zadzwoiłem do niego i zapytałem bez ogródek, w jaki sposób pilotuje się boeinga 747.

Odpowiedział mi najprościej jak tylko można. Notowałem jego słowa.

Powtórzyłem na głos uzyskane informacje, po czym zadałem mu pytanie następujące:

- Jak pan sądzi, czy opierając się na pańskich objaśnieniach, zdołałbym poprowadzić boeinga?

- Nie. Przydałoby się panu kilka seansów na symulatorze lotu.

- Gdzie znaleźć taki symulator?

Powiedział mi.

- Zamierza pan zostać pilotem liniowym? - spytał z lekką ironią.

- Nie. Piszę książkę. Mój bohater przygotowuje się do porwania samolotu.

Dziękuję, Maximilien.

Po co łamać sobie głowę? Powołując się na Maximiliena Figuiera, zadzwoniłem do gościa od symulatorów. Rozbawiony myślą, że będzie uczestniczył w pisaniu



powieści, zaproponował, żebym wpadł. Kiedy wyjaśniał mi działanie symulatora, robiłem notatki. W pewnym momencie odebrał mi pióro i poprawił błąd ortograficzny, który zrobiłem.

- Kiedy wydasz tę swoją książkę, nie zapomnij umieścić mojego nazwiska na liście z podziękowaniami.

Zło czynić może pierwszy lepszy, wystarczy, że podziękuje ludziom, którzy mu w tym pomogli.

Bastien - facet, o którym mowa - pozwolił mi odejść dopiero po wyznaczeniu kilku spotkań, tak żebym mógł sam poćwiczyć na symulatorze.

- W przeciwnym wypadku od razu się wyczuje, że ten twój bohater nie ma o niczym pojęcia. Nie można tego byle jak odwalić.

Zachwyił mnie zryw solidarności ludzkiej, wywołany moim projektem. Ci ludzie, rzecz jasna, nie wiedzieli, że pomagają przestępcy. Gdyby jednak wiedzieli, czy zachowaliby się inaczej?

Bastien miał rację: gdyby nie praktyka, notatki nie na wiele by się zdały. To symulator lotu najwięcej mnie nauczył. Ja, który nigdy nie byłem fanem gier wideo, nie mogłem się od niego oderwać.

Seanse te nie zrobiły ze mnie oczywiście pilota liniowego. Ale słusznie czy niesłusznie, mam wrażenie, że teraz zdołam już sprostać czekającemu mnie zadaniu.

Kupiłem bilet na dzisiejszy lot, a potem sprawdziłem, ile mi zostało na koncie: jakieś cztery tysiące euro - za mało, żeby tydzień, który mi pozostał, przeżyć jak krezus, wystarczająco jednak, aby zaszaleć.

Zaprosiłem Astrolab i Aliénor na obiad do La Tour d'Argent. Tym sposobem nie umrę, nie poznawszy przed śmiercią smaku ich sławnej specjalności - canard au sang.

- Wygrałeś w totolotka? - zapytała dama mniej już obecna w moich myślach.

- Nie. Byłem wam winny obiad. Przecież nie zjedliśmy go w dniu grzybów.

- Ale żeby aż La Tour d'Argent... Przesadzasz.

Nasz stolik stał pod oknem, które wskazałem jej ruchem podbródka.

- To jedyna restauracja w Paryżu, z której ma się widok na tyły Notre Dame.

Długo patrzyła, a potem powiedziała:

- Fakt, że od tyłu jest jeszcze piękniejsza.

Nie wysilając się zbytnio, oddaliłem się od Astrolab. Już nie cierpiałem z miłości do niej. Skorzystały na tym moje maniery. Zauważyła to.

Potem zaproponowała, żebym do nich wstąpił w drodze powrotnej. Nie przyjąłem zaproszenia. Nie nalegała, ale widziałem, że moja odmowa ją zasmuciła. Pomyślałem z ironią, że gdyby okazała takie rozczarowanie miesiąc wcześniej, skakałbym do góry z radości, a dni wieży Eiffla nie byłyby policzone. Teraz było za późno, smutek Astrolab nie robił już na mnie wrażenia.

Kobiety kochają zawsze nie w porę.

Wczoraj rano dostałem list od Astrolab. Wyjmuję go z kieszeni, żeby tu przepisać:

*Zoilu!*

*Zmieniłeś się. Ubolewam nad tym, lecz nie czynię ci wyrzutów. Musisz mieć po temu powody. To, co wzięłeś za oziębłość, było odbiciem niepokoju kobiety, która odkrywa, że jest kochana bardziej, niż się spodziewała. Nie żeby mi się to nie podobało, przeciwnie. Ale nigdzie nie uczą sztuki przyjmowania z wdziękiem brylantów; ja również, podobnie jak inni, tego nie potrafię. Jeśli cię utraciłam, godzę się z twoją decyzją i dziękuję ci za karaty przeszłości. Czy jest choć najmniejsza nadzieja, że do mnie wrócisz? Czekam na ciebie i obiecuję być jeśli nie zręczniejsza, to przynajmniej nie ukrywać już przed tobą tej błogiej rozterki, której jesteś przyczyną.*

*Twoja Astrolab*

Podobny list można przeczytać na dwa sposoby: albo zapłakać w obliczu takiego piękna, albo roześmiać się w obliczu takiej groteski. Przetrwalo we mnie wystarczająco wiele miłości, żeby te słowa wystrzeliły w mojej głowie jak korek od szampana. Ale też doznałem wystarczająco wiele rozczarowań, aby dostrzec ich potencjalną śmieszność. Tylko człowiek bezgranicznie zakochany jest naprawdę wyrozumiały; kiedy kocha trochę mniej, górę bierze wrodzona złośliwość. Oscyluję między tymi dwoma stadiami uczucia.

Z drugiej strony przepisanie listu zrobiło swoje. Przepisywać to ożywiać potęgę słów. Partytura bardziej porusza w trakcie gry niż lektury.

Zachwiało to moim postanowieniem. Ale nie złamię się, przeklęta Astrolab.

Doskonale wiem, jak łatwo byłoby mi odstąpić od mojego projektu; wystarczyłoby, że opuściłbym lotnisko i przyszedł do ciebie, a myślę, że obecność twojej głupkowatej pisarki tym razem nie przeszkodziłaby mi postawić na swoim. Osiągnęłaś stan, w którym ja znajdowałem się tej zimy - niczego byś mi nie odmówiła. Tak bardzo cię pożałowałem, tak bardzo pragnąłem ujrzeć cię równie roznamiętnioną jak ja.

Ale zacisnę zęby, zwalczę ten poryw, który mnie popycha ku tobie. To, co przychodzi za późno, jest nic niewarte, i tyle. A poza tym obiecałem sobie, że wytrwam. Ulisses, który nie uległ śpiewom syreny, na pewno by mnie zrozumiał.

Kłopot z syrenami jest taki, że śpiewają zawsze nie w tym momencie, co trzeba.

Zbliża się godzina odlotu. Za chwilę udam się z torbą do toalety. W sklepie wolnocłowym kupiłem butelkę cristal-roederera. Można by się zastanowić, dlaczego wybrałem tę akurat markę; do użytku, jaki zamierzam zeń uczynić, nadawałby się szampan najpodlejszego gatunku. Uznałem jednak, że moje ofiary zasługują na uśmiercenie artykułem z najwyższej półki.

Rozbiję butelkę o muszlę klozetową i pozbieram największe odłamki szkła, z których szyjka, poręczna do trzymania, będzie moją najlepszą bronią. Szkoda

marnować taki luksus, ale jak trzeba, to trzeba. Nie ma mowy o wypiciu bodaj łyżeczka, muszę zachować trzeźwy umysł. Zresztą i tak trunek będzie niewystarczająco schłodzony.

Astrolab była jedynym wystarczająco dla mnie zimnym szampanem. Trudno. Umrę trzeźwy.

Kiedy samolot wystartuje, wejdę do kabiny pilotów i szyjką butelki z miejsca poderżnę im gardła. A ponieważ nie wiem, czy zdobędę się na taki czyn, dlatego jedynym wyjściem jest o tym nie myśleć. Najmniejsze nawet przygotowanie psychologiczne pozbawiłoby mnie sił.

Rzecz nie powinna być specjalnie trudna, jak to się robi, że sto razy widziałem w kinie i tysiąc razy próbowałem przed lustrem. Byle tylko o niczym nie myśleć. Dlatego też postanowiłem, że będę odtwarzał w tym momencie w głowie Podróż zimową Schuberta, z tej prostej przyczyny, że nie ma żadnego związku między moim postępkiem i tą muzyką.

Kiedy będzie po wszystkim, przejmę stery maszyny. Cieszyłem się, że w ten sposób zweryfikuję przydatność nauk Maximiliena Figuiera i mojego treningu na symulatorze. Tak czy siak, skończy się katastrofą lotniczą. A wieża Eiffla to lepsze i mniej banalne niż hotel trzeciej kategorii w malej mieścinie. Ciekawe, czy to prawda z tą literą A?

Drzwi do kabiny pilotów będą zamknięte od wewnątrz. Na pokładzie samolotu stanę się pierwszym po Bogu. Myślę, że to musi być niesamowite uczucie.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, skieruję mój statek na Paryż. Jest dziewiętnasty marca, niebo bezchmurne, światło zachowało jeszcze zimową kryształiczość, widok zapowiada się bajeczny.

Kocham moje rodzinne miasto, teraz stanie mi się droższe niż kiedykolwiek.

Jest to zjawisko, które nieraz już zauważałem: by pokochać jakieś miejsce, trzeba je zobaczyć z wysoka. To pewnie dlatego Boga wyobraża się zawsze w górze, nad ziemią. Jak inaczej zdołałby nas kochać?

Przybędę od północy, skręcę lekko w prawo, przelecę nad Łukiem

Triumfalnym. Za Trocadéro będzie już na mnie czekało gigantyczne A wieży Eiffla.

Będę je kochał miłością, którą wzbudza w nas to, co znalazło się na naszej łasce.

Mam szczerą nadzieję, że swoją interwencją nie oszpecę ślicznego pałacyku

Galliera i nie uszkodzę cudownej inskrypcji Valéry'ego na fasadzie pałacu Chaillot.

Za chwilę stewardesa zaprosi pasażerów na pokład. Nie chcę modlić się o odwagę, bo to zakładałoby, że jej nie mam.

Nie przewiduję porażki swojej misji. Wiem, że mi się uda.

Zamykam oczy, koncentruję się wewnętrznie. Wyczuwam już potężny korpus wieży Eiffla. Ja sam do tego stopnia tworzę jedno z samolotem, że szczytuję całym moim metalem.

Jeszcze nigdy nie osiągnąłem takiego stopnia świadomości własnego szkieletu.  
To właśnie musi być miłość.  
Oto jestem na pokładzie. Stewardzi, którzy zaraz umrą, witają mnie. Za chwilę startujemy.  
Wiosna może już nadejść.

